

ZAGADKA ZEGARA MALTANSKIEGO

SERIA
CLUE

The book cover features a dark, atmospheric illustration. At the top, the title 'ZAGADKA ZEGARA MALTANSKIEGO' is written in large, textured, yellow-green block letters. Below the title, a stylized room is depicted with a purple and green checkered floor. In the center of the room, a white icon of a clock and a key is visible. To the right, a framed picture hangs on the wall, showing a figure in a dark setting. In the foreground, the silhouettes of three people are shown from behind, looking towards the room. The overall color palette is dominated by dark blues, purples, and greens, with yellow-green highlights.

JØRN LIER HORST
AUTOR BESTSELLEROWEGO „JASKINOWCA”

ZAGADKA
ZEGARA
MALTAŃSKIEGO

Jørn Lier Horst

przekład: Milena Skoczko



*„Czymże więc jest czas?
Jeżeli nikt mnie o to nie pyta, wiem.
Jeżeli chcę to wytłumaczyć komuś,
kto o to pyta, już nie wiem”.*

św. Augustyn z Hippony, 354–430 n.e.

Cecilia Gaathe mieszka w pensjonacie „Perła” razem ze swoim ojcem, Alanem W. Gaathe, który jest jego właścicielem i dyrektorem. Matka Cecilii, Iselin, w niewyjaśnionych okolicznościach utopiła się zeszłego lata w wodach Zatoki Okrętów.

Leo Bast właśnie wprowadził się nad Zatokę Okrętów. Mieszka razem ze swoją matką Rebekką, która niedawno objęła stanowisko kierownika pensjonatu. Rodzice Leo są rozwiedzeni. Ojciec jest dziennikarzem i mieszka na stałe w Dubaju.

Une Flaker od urodzenia mieszka w starym domu pilota morskiego we wschodniej części Zatoki Okrętów razem z rodzicami i dwoma braćmi. Ojciec jest rybakiem, a matka nauczycielką w szkole w mieście.

Egon to pies Une. Swoje imię zawdzięcza temu, że jest uparty, robi, co chce, i ma rozbuchane ego. Sięga Une do kolan, ma brązową kręconą sierść, długi ogon i mokry pysk. Jest mieszańcem, ale niektórzy twierdzą, że w jego żyłach płynie krew psa policyjnego.

Pensjonat „Perła”

Pensjonat zbudował prapradziadek Cecilii ponad sto lat temu. Wówczas goście przyplwali parowcem do nabrzeża głębokowodnego lub przyjeżdżali pociągiem do miasta, a dalszą drogę pokonywali bryczką. Podczas drugiej wojny światowej posiadłość przejęli Niemcy. W budynku kwatrowali nazistowscy oficerowie. Później pensjonat wielokrotnie zmieniał właścicieli aż do czasu, gdy rodzice Cecilii odkupili go, wyremontowali i zaczęli wynajmować pokoje gościom. Cecilia z ojcem i Leo z matką mieszkają na pierwszym piętrze w prywatnej części pensjonatu. Nad budynkiem króluje wolno stojąca wieża.

1

NOCNE STRACHY

Cecilię Gaathe obudził jakiś dźwięk. Nie była pewna, co dokładnie słyszała, wiedziała tylko, że coś ją obudziło.

Stary dom jest źródłem wielu dźwięków. Trzeszczy drewniana podłoga, szumi woda w rurach, goście pensjonatu, którzy późno wracają do swoich pokoi, również potrafią wyrwać ze snu. Cecilia była przyzwyczajona do nocnych odgłosów, ale tym razem to było coś innego. Jakiś obcy dźwięk.

Nie wiedziała, która jest godzina, ale domyślała się, że musi być środek nocy. Roleta w oknie była zaciągnięta, lecz jak tylko zaczynało świtać, blask słońca wdierał się do pokoju z obu jej stron. Tymczasem teraz pokój tonął w ciemnościach i jedynie wąska struzka światła biegnąca spod drzwi małej łazienki sprawiała, że widać było zarys mebli.

Wczoraj Cecilia długo nie mogła zasnąć. Przez tamto zdjęcie. Przez zdjęcie matki, która zginęła ubiegłego lata. Dostała je od Ebby, która była jednym z ich stałych gości i uczestniczyła w zeszłorocznym święcie, gdy Iselin Gaathe widziano żywą po raz ostatni. Na zdjęciu matka wyglądała dokładnie tak, jak Cecilia ją zapamiętała: piękna i uśmiechnięta. A zaledwie kilka minut później zginęła bez śladu.

Nikt nie wiedział, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru, a zdjęcie podarowane przez Ebbę jeszcze bardziej wszystko zagmatwało. Cecilia nie powiedziała nikomu, że na fotografii matka ma na sobie inną suknię niż ta, w której ją po tygodniu odnaleziono.

Znowu ten dźwięk. Dobiegał z zewnątrz. Głuchy odgłos, jakby ktoś stąpał ciężko po trawie w ogrodzie. Po chwili dźwięk ucichł.

Cecilia leżała nieruchomo, wytężając słuch. Gdzieś w oddali szczekał pies, ale poza tym panowała

cisza.

Nie lubiła tego pokoju. Pokoju numer 118. Był całkiem zwyczajny, ale znajdował się na tyłach budynku i z jego okien nie roztaczał się widok na morze, o który prosili wszyscy goście. Jej pokój był położony w prywatnej części pensjonatu i sąsiedował z sypialnią ojca, małym salonem i ich własną kuchnią, ale ponieważ większość pokoi gościnnych została wyremontowana, ojciec postanowił teraz odnowić ich prywatne pokoje. Ściany i sufity zostały zerwane i wszędzie stały puszki z farbą. Dopóki trwał remont, musieli spać gdzieś indziej. Ona dostała pokój 118, a ojciec zamieszkał po drugiej stronie korytarza, w pokoiku, który był jeszcze mniejszy od jej lokum.

Jedyną zaletą pokoju 118 było to, że miał drzwi prowadzące na małą werandę, z której można było zejść do ogrodu. Poza tym Cecilia dysponowała własną łazienką, dzięki czemu rano, gdy wstawała, by przygotować śniadanie dla gości, mogła prosto spod prysznica iść do pracy. To był zresztą powód, z którego nie nocowała w swoim ulubionym pokoju na wieży. Znajdował się na samej górze, a jego okna wychodziły na wszystkie strony świata. Czuła się w nim wolna jak ptak. To właśnie tam przesiadywała całymi godzinami, a na noc przenosiła się do pokoju w prywatnej części budynku – czy jak teraz: do ciasnego, anonimowego pokoju numer 118.

Przełknęła ślinę, nabrała powietrza i wstrzymała oddech. Czy drzwi do ogrodu były zamknięte na klucz?

Próbowała to sobie przypomnieć, ale nie była w stanie zebrać myśli. Wtedy znowu usłyszała jakieś dźwięki dobiegające z zewnątrz. Tym razem był to odgłos kroków, po którym nastąpiło skrobanie w ścianę.

Cecilia bezszelestnie wsunęła się głębiej pod kołdrę. Może to wyobraźnia płata mi figle, pomyślała, próbując stłumić lęk. Ostatnio tak wiele się wydarzyło. Wspomnienia często powracały do niej w snach. Nie chodziło wyłącznie o śmierć matki, ale również o to, co się stało po tym, jak kilka tygodni temu znalazła na plaży martwego mężczyznę. Gdy wieczorem zamykała oczy, wciąż go widziała, zimnego i sztywnego, z salamandrą wytatuowaną na bladym ramieniu.

Znowu ten dziwny dźwięk.

Napięła mięśnie gardła, żeby przełknąć ślinę, ale za bardzo zaschło jej w ustach.

Jeśli rzeczywiście ktoś chodził po ogrodzie, kim był i czego chciał? Oczywiście mógł to być zwykły włamywacz, ale równie dobrze mógł to być ktoś, kto chciał się na niej zemścić. Martwy mężczyzna z plaży, który tak często pojawiał się w jej snach, nie działał sam, a ona, Une i Leo zadbali o to, żeby policja ujęła pozostałych członków grupy z wytatuowaną na ramieniu salamandrą.

Myśl o zemście została wyparta przez inną.

To mogło mieć związek z matką. Po tym, jak Ebba podarowała Cecilii fotografię, na której matka dziewczynki miała na sobie inną suknię, Cecilia nabrała jeszcze większej pewności, że śmierć matki nie nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku, jak twierdziła policja. Bo po co matka

miałaby ni z tego, ni z owego wyjść z przyjęcia, które sama zorganizowała? I po co miałaby się przedtem przebierać?

Cecilia odgoniła od siebie te myśli. „Zwierzę” – wpadło jej nagle do głowy. Niepokojące dźwięki mogła wydawać sarna, która wyszła z lasu i pasła się teraz w ich ogrodzie. Gdy wcześniej rano Cecilia wstawała do pracy, widywała je czasem w pobliżu pensjonatu. Niekiedy podchodziły aż do jabłoniowego sadu.

Leżała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w drzwi werandy. Jak zwykle przed spaniem otworzyła je na oścież, żeby wywietrzyć pokój. Wpuścić świeży zapach lata, jak mówiła matka. W tym czasie Cecilia spacerowała boso po mokrej od rosy trawie, a potem wytarła stopy o matę i weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi, ale czy przekreśliła klucz w zamku? To była jedna z tych codziennych, rutynowych czynności, które trudno zapamiętać lub odróżnić od siebie. Zwykle zamykała drzwi na klucz, ale czy zrobiła to poprzedniego wieczoru?

Nasłuchiwała, lecz teraz na dworze panowała cisza. Przeniosła wzrok z drzwi na telefon komórkowy, który leżał na stoliku nocnym. Komórka była wyłączona. Cecilia nie zaryzykowała i nie wyciągnęła ręki, żeby ją włączyć. Jej ojciec spał w pokoju po drugiej stronie korytarza. Prawdopodobnie obudziliby się, gdyby krzyknęła wystarczająco głośno, ale nie mogła się do tego zmusić. Leżała, wyęzając słuch, jednak nie słyszała nic poza własnym oddechem. I wtedy nagle!

Drewniana weranda zatrzeszczała.

Serce Cecyli zaczęło bić jak oszalałe. Zupełnie opadła z sił. Trzęsła się, jakby z zimna, i jednocześnie oblewała potem, jakby było jej gorąco.

Teraz była pewna. Ktoś był na werandzie. Ktoś stał przed drzwiami.

Otworzyła usta, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Ktoś powoli nacisnął klamkę.

2

NIC NOWEGO

Drzwi musiały być zamknięte.

Dopiero po kilku długich sekundach klamka bezgłośnie wróciła do swojego pierwotnego położenia.

Cecilia wpatrywała się w drzwi przez całą noc, aż zaczęło świtać. Wtedy zmorzył ją sen, a gdy zadzwonił budzik, promienie słońca wdzierały się do pokoju przez szpary między roletami. Światło sprawiało, że noc wydawała się odległa i nierzeczywista. Cecilia zastanawiała się, czy dźwięki, które słyszała przed zaśnięciem, nie były przypadkiem częścią nocnych koszmarów.

W kuchni zastała jedynie Edgara, który zdążył już zaparzyć kawę, a teraz stał nad kuchenką i smażył boczek i małe kawałki kiełbasy.

Cecilia poszła do chłodni po półmiski z wędliną i serem i zaniosiła je do sali śniadaniowej. Pierwszy gość był już na miejscu. Nazywał się Frank Kobolt i mieszkał w pensjonacie od czterech dni. Siedział przy stoliku w głębi sali i wertował gazetę.

Cecilia stała za drzwiami kuchni i przyglądała mu się przez szybę. Było w nim coś, co nie dawało jej spokoju. Nie umiała tego nazwać, ale za każdym razem, gdy na niego patrzyła, robiło jej się nieprzyjemnie.

Większość gości prosiła o pokój z widokiem na morze, natomiast Frank Kobolt zażyczył sobie, aby jego pokój wychodził na drugą stronę, to znaczy na rozległą łąkę i góry za hotelem. Może wołał wschód słońca nad górami od zachodu słońca nad morzem? – pomyślała. W każdym razie wcześniej wstał. Była dopiero siódma i pozostali goście jeszcze spali.

Postanowiła przyjrzeć mu się dokładnie. Zgadywała, że jest nieco młodszy od jej ojca, mógł mieć czterdzieści kilka lat, był bardziej umięśniony i barczysty. Miał ciemne włosy, które rosły gęsto po bokach głowy, szeroką twarz z blisko osadzonymi oczami i mocno zarysowaną szczękę. Jego czoło było pokryte zmarszczkami, jakby skupiał się na tym, co czyta.

Mimo że zapowiadał się ciepły dzień, miał na sobie czarny golf, brudne buty do biegania i czarne spodnie z zabłoconymi nogawkami. Wyglądało na to, że wstał bardzo wcześnie i jeszcze przed śniadaniem wybrał się na spacer.

Podniósł na chwilę wzrok znad gazety, rozejrzał się podejrzliwie dookoła i zbliżył filiżankę do ust. Po sposobie, w jaki pił, Cecilia domyśliła się, że opróżnił naczynie. Zabrała dzbanek z kawą i podeszła do gościa.

Każdego ranka zajmował ten sam stolik w rogu sali. Jakby nie chciał siedzieć zwrócony plecami do pozostałych gości lub bał się, że coś umknie jego uwadze.

– Dolać panu kawy? – spytała, unosząc dzbanek.

Spojrzał na nią. Cecilia zauważyła, że jego oczy były ciemnoszare, a od lewego policzka w dół szyi biegła blizna. Musiała bardzo się pilnować, żeby uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Tak, proszę. – Skinął głową i podał jej filiżankę. Napełniła ją i jeszcze raz napotkała jego spojrzenie. Uderzyło ją to, jak bardzo był blady, jakby w ogóle nie przebywał na słońcu.

Podziękował i odłożył gazetę. Gdy ją składał, papier zaszeleścił jak stary, wysuszony pergamin.

Nagle otworzyły się drzwi kuchenne i do sali wszedł Edgar z tacą świeżo upieczonych bułek. Wokół rozszedł się przyjemny zapach gorącego pieczywa.

Po chwili zjawił się kolejny gość. Aleksandersen, emerytowany zegarmistrz. Wiedziała, kim był z zawodu, ponieważ obiecał jej ojcu, że naprawi stary zegar stojący w recepcji, który dawno temu zatrzymał się na godzinie dwunastej dwadzieścia pięć.

Mężczyzna wyjął z kieszeni marynarki mały zegarek na łańcuszku, zerknął na niego i z zadowoleniem skinął głową, po czym odłożył go na miejsce. Zabrał jedną z gazet wiszących na statywie, wsunął ją pod ramię i zaczął nakładać sobie jedzenie na talerz.

Cecilia spojrzała na swój zegarek. Wkrótce cała sala zapełniła się gośćmi. Obsługa śniadania była świetną pracą na lato. Cecilia lubiła wcześniej wstawać, a poza tym gdy ostatni pensjonariusz opuścił salę i wszystkie stoliki były posprzątane, przez resztę dnia mogła robić to, na co miała ochotę.

Podeszła z dzbankiem z herbatą do stolika, przy którym usiadł stary zegarmistrz. Mężczyzna uśmiechnął się i podstawił filiżankę.

– Spójrzy pan dzisiaj na zegar? – spytała, żeby przypomnieć mu o obietnicy.

– Słucham?

– Zegar w recepcji – wyjaśniła i nalała mu herbaty.

– Tak, na pewno dzisiaj się tym zajmę – odparł i rozłożył gazetę.

Cecilia nie miała czasu przejrzeć prasy, ale zobaczyła, że dziennik leżący przed Aleksandersenem miał inne nagłówki niż ten, który czytał Kobolt. Zdziwiła się. W końcu i tu, i tu było to „VG”.

„Złodziej na wolności”, brzmiał nagłówek artykułu w gazecie zegarmistrza. Poniżej znajdowało

się zdjęcie mężczyzny, zrobione najprawdopodobniej w chwili aresztowania, z profilu i *en face*. Nie zdążyła przeczytać całego napisu, ale rozumiała, że policja ostrzega przed zbiegłym więźniem.

Zaciekawilo ją to. Ponieważ w sali śniadaniowej zawsze wisiały podwójne egzemplarze gazet, podeszła do stojaka, żeby wziąć ten sam numer „VG”. Zanim jednak sięgnęła po gazetę, jakaś młoda kobieta zdjęła ją ze statywu i zanosła do stolika, a tuż za nią zjawili się kolejni goście. Cecilia i tak nie miałyby teraz czasu na czytanie. Cieszyła się, że zaraz przyjdzie Leo i jej pomoże.

Leo i jego matka wprowadzili się do hotelu miesiąc temu, po tym jak Rebekka Bast została kierownikiem „Perły”. Prowadzeniem pensjonatu zajmowała się matka Cecilii. Po jej śmierci ojciec został za wszystkim sam. Było mu ciężko i dlatego zdecydował się zatrudnić kogoś do pomocy.

Cecilia lubiła Leo. Był miły i wesoły, ale potrafił być również poważny. Rozumieli się bez słów. Ojciec Leo mieszkał w Dubaju, gdzie pracował jako dziennikarz w arabskiej stacji informacyjnej. Cecilia nigdy go nie widziała, ale domyślała się, że to po nim chłopak odziedziczył ciemne włosy i złocistą karnację. W każdym razie jego matka była blondynką i opalała się na czerwono.

Frank Kobolt wstał od stolika. Zabrał gazetę i ruszył w stronę drzwi. Cecilia czekała, aż wyjdzie z sali, żeby móc posprzątać i przygotować stolik dla kolejnych gości.

Gdy przechodził obok niej, rzuciła okiem na dziennik, który trzymał w ręce. Papier był sztywny i pożółkły ze starości. „Możemy liczyć na więcej słońca”, brzmiał nagłówek. W sezonie ogórkowym gazety często pisały o pogodzie.

Mężczyzna zatrzymał się przy paterze z owocami, stojącej na ławie obok Cecilii. Chwilę się zastanawiał, po czym wybrał jabłko. Korzystając z okazji, Cecilia przetarła blat ściereczką, jeszcze raz zerknęła na pierwszą stronę gazety i znieruchomiała. Gazeta miała datę: środa, 28 lipca, natomiast tego dnia był wtorek, 19 lipca. Z wrażenia zaschło jej w gardle i nie mogła złapać tchu. Wydanie „VG”, które czytał Frank Kobolt, liczyło prawie rok i ukazało się dokładnie w dniu zaginięcia jej matki.

3

DWA RAZY CZERWONY

Trzeci i siódmy stopień schodów prowadzących do pokoju na wieży skrzypiał przeciągle. Chcąc uniknąć przykrego dźwięku, Cecilia pokonywała po dwa stopnie naraz.

Z wolno stojącej wieży rozciągał się widok na cztery strony świata. Stare drewniane domy z małymi szybkami w oknach, otoczone bujnymi kępami kwiatów stały za białymi płotami i pachnącymi upojnie krzewami róż. Nie było tam żadnych sklepów ani fabryk. Droga do miasta wiała się między łąkami i gospodarstwami rolnymi.

Lipcowe niebo było idealnie błękitne, nie licząc białej smugi po odrzutowcu. Słońce odbijało się w tafli morza, a fale wywołane przez starą łódź żaglową połyskiwały srebrzyście. Na plaży kilkoro dzieci budowało zamki z piasku.

Cecilia przeszła przez pokój i stanęła przy oknie wychodzącym na ogród. Stare jabłonie przekwitły i na gałęziach pojawiły się pierwsze niedojrzałe owoce. Gołąb zerwał się z dachu i poleciał w stronę lasu. Panował błogi spokój. Aż trudno było uwierzyć, że w nocy przestraszyła się jakichś dźwięków. A jednak ktoś tam był. Klamka naprawdę się poruszyła. Myśl o zeszej nocy wciąż napawała ją lękiem, ale nie miała ochoty z nikim o tym rozmawiać. To było okropne, ale teraz, w świetle dnia, nocne strachy wydawały jej się dziecinne i śmieszne.

Zapowiadał się upalny dzień. Otworzyła okna z każdej strony kwadratowego pokoju. Przeciąg wprawił w ruch cienkie zasłony.

Zatrzymała się przed zdjęciem matki, które dostała od Ebby. Stało na komodzie oprawione w ramkę. Na ścianie za komodą wisiała tablica korkowa, do której Cecilia przyczepiła wszystkie artykuły prasowe dotyczące zaginięcia matki. Wycinek z gazety ze zdjęciem zrobionym w dniu odnalezienia jej ciała położyła i wygiął się na brzegach. Cecilia powiodła palcami po wyschniętym papierze. Czterech mężczyzn stojących wśród przybrzeżnych skał trzymało nosze, na których leżała

jej matka, przykryta grubym kocem. Z obu stron zwisały strzępy czerwonej sukni, która sięgała aż do ziemi.

Na fotografii matka uśmiechała się promiennie. Prawie się nie malowała. Nie musiała. Jej jasnobrązowa skóra była idealnie gładka, a czarne brwi biegły łagodnym łukiem nad niebieskimi błyszczącymi oczami. Czerwona suknia opinała się na jej szczupłym, zgrabnym ciele.

Kwadrans po tym, jak zrobiono to zdjęcie, matka zniknęła. Po tygodniu Stary Tim znalazł ją w pobliżu Åloddén. Problem polegał jednak na tym, że na każdym z tych dwóch zdjęć matka miała na sobie inną suknię: na fotografii Ebby – całą czerwoną, a na zdjęciu w gazecie – czerwoną, wykończoną białą lamówką.

Zatrzeszczały schody prowadzące z biblioteki. Chwilę później usłyszała chrobotanie łap Egona. Pies przeskoczył ostatni stopień i podbiegł do niej z wywieszonym językiem. Tuż za nim zjawili się Une i Leo. Cecilia ukłękła, zbliżyła twarz do mokrego pyska Egona i podrapała go za uszami. Egon był psem Une. Mieszkali w starym domu pilota morskiego przy nabrzeżu głębokowodnym, gdzie ojciec Une trzymał swoją łódź rybacką. Matka Une twierdziła, że ojciec Egona był psem policyjnym, chociaż Egon wyglądał jak skrzyżowanie pudła z labradorem. Był mały i nawet z brązową kręconą sierścią, która sprawiała, że wydawał się większy, sięgał im zaledwie do kolan. W pensjonacie nie wolno było trzymać zwierząt, ale Egon robił, co chciał. Właśnie dlatego tak go nazwali: bo miał rozbuchane ego.

– Opowiedz Une o mężczyźnie ze starą gazetą – poprosił Leo, siadając obok niej.

Egon zaczął lizać ją po twarzy. Niewiele wskazywało na to, że w jego żyłach płynie krew psa policyjnego, ale pozory mogą mylić. Z Une było zresztą podobnie. Była wysoka i silna jak chłopak. Miała brązowe kręcone włosy i obsypaną piegami twarz. Najczęściej chodziła w znoszonym bawełnianym swetrze, dziurawych džinsach i brudnych sportowych butach, przez co wiele osób sądziło, że ma do czynienia z chłopcem.

– Jaką starą gazetą? – spytała i podrapała się po udzie.

– Właściwie nie ma o czym mówić – odparła Cecilia i podniosła się. – Facet czytał do śniadania gazetę sprzed roku.

– Z 28 lipca – sprecyzował Leo.

– Z tego dnia, w którym zaginęła twoja mama? – upewniła się Une.

Cecilia przytaknęła.

– Ale w gazecie nie było o tym ani słowa, bo pani Iselin zaginęła w nocy, a gazeta ukazała się rano.

Cecilia jeszcze raz spojrzała na ścianę z wycinkami z gazet. Nazwisko jej matki widniało w części nagłówków.

– Jest coś, o czym wam nie powiedziałam – zaczęła i zdjęła z tablicy korkowej artykuł ze

zdjęciem matki niesionej na noszach. – Przyjrzyjcie się jej sukni.

Podawała zdjęcie Leo.

Ten odsunął Egona i wziął do ręki wycinek z gazety. Spojrzał na czerwoną suknię wystającą spod koca, ale nie zauważył niczego szczególnego.

Cecilia podała mu oprawioną w ramkę fotografię, którą dostała od Ebby. Leo przeniósł wzrok z jednego zdjęcia na drugie i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Przecież to nie jest ta sama suknia! – zawołał.

Une pochyliła się nad nim.

– Popatrz! – powiedział, wskazując różnicę. – Ta jest cała czerwona, a tamta ma na dole biały brzeg.

Une zabrała mu zdjęcia, żeby przyrzeć im się z bliska.

– Co to oznacza? – spytała.

Cecilia powiedziała na głos to, o czym myślała od dawna:

– Mama musiała przebrać się w trakcie przyjęcia, tuż przed swoim zniknięciem...

– Ale po co? – zdziwiła się Une. – Po co miałyby przebierać się z jednej czerwonej sukni w inną czerwoną suknię?

Na to pytanie żadne z nich nie знаło odpowiedzi.

– Wiesz, gdzie jest suknia z przyjęcia? – spytał Leo.

Cecilia potrząsnęła głową.

– Wszystkie ubrania mamy nadal wiszą w szafie – wyjaśniła. – Ale tej sukni tam nie ma – dodała.

– Rozmawiałś o tym z ojcem?

– Nie. Tata nie lubi rozmawiać o tym, co się stało. Poza tym to był przecież nieszczęśliwy wypadek. Policja wszystko sprawdziła. Mama wpadła do wody i utonęła.

– Wszystkiego nie sprawdzili – stwierdził Leo i wyjął z rąk Une oprawione zdjęcie Iselin Gaathe.

Przekrzywił głowę i przyjrzał mu się badawczo.

Cecilia odwróciła wzrok. Często słyszała, że jest podobna do matki. Miała takie same falowane jasne włosy, które opadały miękko na ramiona, i taki sam uśmiech, który opromieniał całą twarz.

– Odzyskałaś ten naszyjnik? – spytał i położył palec na zdjęciu w miejscu, w którym znajdował się medalion.

Cecilia przygryzła wargę i odebrała mu zdjęcie. Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Tak bardzo przywykła do widoku naszyjnika, że nie zwróciła na niego uwagi. Matka zawsze go nosiła. To był medalion z aniołem i małym dzieckiem, wrytymi na wieczku. W środku znajdowało się zdjęcie młodej Cecylie.

– Nie widziałam go od dnia, w którym zaginęła – odparła i postawiła zdjęcie na komodzie.

– Może została z nim pochowana?... – spytał ostrożnie Leo.

– Nie sądzę. Tata dostał jej obrączkę, a ja kolczyki. Myślę, że medalion gdzieś się zgubił.

– Może zsunął jej się z szyi, gdy wpadła do wody?

Cecilia wzruszyła ramionami. Naszyjnik nie był aż tak długi, by mógł sam zsunąć się przez głowę, ale niewykluczone, że zerwał się, gdy matka pośliznęła się i wpadła do wody.

Nastolatka odwróciła się do okna i spojrzała na morze. Śmierć matki była jak morskie fale, pomyślała. Jak coś, co leżało wśród przybrzeżnych kamieni, potem zostało wyrzucone przez fale na brzeg i porwane z powrotem do morza. Nieuchwytnie. Ulotne.

Nagle coś przykuło jej uwagę. Mężczyzna, który czytał do śniadania stare wydanie „VG”, stał na parkingu przed pensjonatem.

– To on – powiedziała.

Une i Leo wyjrzeni przez okno.

– Kto?

– Frank Kobolt. Gość od starej gazety – wyjaśniła.

Egon wepchnął się między nich, oparł przednie łapy o parapet i zbliżył łeb do szyby.

Tymczasem mężczyzna otworzył bagażnik, rzucając szybkie spojrzenie na wejście do hotelu. Podniósł coś i błyskawicznym ruchem odłożył to na miejsce. Tajemniczy przedmiot dosłownie mignął im przed oczami, ale i tak wszyscy troje zdążyli w nim rozpoznać aparat fotograficzny. Frank Kobolt zrobił z ukrycia zdjęcie osobom, które niczego nieświadome odpoczywały przed pensjonatem.

4

ZEGAR MALTAŃSKI

– *Siedzisz taaam?*

Skrzeczący głos należał do Arthura. Żółto-zielonej papugi, która przeszła na własność pensjonatu, gdy przed sześciu laty kupili go rodzice Cecilii. Właściciel egzotycznego ptaka porzucił go dwadzieścia lat wcześniej, gdy opuszczał hotel, nie zapłaciwszy za pobyt. Od tego czasu Arthur mieszkał w klatce na tarasie przed pensjonatem.

Egon podskoczył i oparł łapy o klatkę.

– *Siedzisz taaam?* – wydierała się papuga.

Pies zaszczekał krótko.

– *Hej, mój skarbie! Siedzisz taaam, skarbie?* – gadał w kółko Arthur, wydając przy tym dźwięki podobne do cmoknięć.

Cecilia, Une i Leo pozwolili psu i papudze klócić się do woli, a sami rozejrzeli się dookoła. Tylko trzy stoliki były zajęte. Najbliżej wejścia siedział długowłosy brunet w okularach przeciwsłonecznych i w czarnym T-shircie. Sąsiedni stolik zajmowały dwie starsze panie, a trzeci, najbardziej oddalony – siwowłosy mężczyzna. Frank Kobolt nadal stał przy swoim samochodzie. Wyjął torbę i zamknął bagażnik.

Egon przerwał dyskusję z Arthurem i wcisnął łeb między nogi Une.

– *Mój skarbie! Mój skarbie!* – wołała za nim papuga.

Mężczyzna z długimi włosami wstał. Okulary przeciwsłoneczne miały błyszczącą powłokę i wyglądały jak dwa małe lustra, przez które nie sposób było spojrzeć mu w oczy. Zabrał ze sobą butelkę coli, uśmiechnął się do nastolatków i ruszył do wyjścia.

– *Hej, skarbie! Hej, skarbie!*

– Hej, hej! – zaśmiał się nieznajomy i wsunął palec między pręty klatki.

– *Mój skarbie!* – odparł Arthur i ukrył łeb pod skrzydłem.

Mężczyzna znowu się zaśmiał.

– Jak ma na imię? – spytał, odwracając się w ich stronę.

Cecilia zobaczyła w jego okularach swoje odbicie.

– Arthur – odparła.

– Fajny ptak – powiedział i udał się do recepcji.

Leo spojrzął za nim.

– Fajny facet.

– Zapomniał zabrać gazetę – zauważyła Une.

Diennik wciąż leżał na stoliku, przy którym siedział długowłosego mężczyzna. Główny artykuł był opatrzony nagłówkiem „Złodziej na wolności”.

Usiedli przy stole. Leo wziął do ręki gazetę. Mężczyzna, którego poszukiwano, nazywał się Levi Hildonen. Miał małe oczy, okrągłą twarz i jasne, krótko ostrzyżone włosy.

– „Jeden z dwóch więźniów zbiegłych z Zakładu Karnego Ullerlia w środę trzynastego lipca siedział w areszcie za napad na «Górę Złota», do którego doszło rok temu” – czytał na głos Leo. – „Policji dotąd nie udało się ustalić miejsca jego pobytu. 37-letni Levi Hildonen jest uważany za groźnego przestępcę i dlatego policja zdecydowała się na opublikowanie jego wizerunku i danych osobowych. Proces przeciwko Hildonenowi miał ruszyć na początku przyszłego miesiąca”.

– „Góra Złota”?

– Chyba pamiętam tę sprawę – powiedział Leo, szukając na kolejnych stronach dalszego ciągu artykułu. – „«Góra Złota» to jeden z największych sklepów jubilerskich w Norwegii i uznany dostawca ekskluzywnych zegarków i biżuterii. W lipcu ubiegłego roku ze sklepu skradziono przedmioty o łącznej wartości przekraczającej 30 milionów koron. Złodzieje sforsowali kilkoro metalowych drzwi i przebili się przez betonową ścianę do skarbcza. Dzięki aresztowaniu Hildonena odzyskano część skradzionych przedmiotów”.

– Trzydzieści milionów! – zagwizdała Une. – Załóż się, że Levi Hildonen wygrzewa się teraz na Majorce.

– „Złodzieje ukradli prawie 20 kilogramów złota i sporo drogiej biżuterii. Ich łupem padł również tak zwany zegar maltański, który sam wart jest pięć milionów koron”.

Cecilia pochyliła się nad gazetą i przyjrzała zdjęciu cennego zegara umieszczonego pod szklaną kopułą.

– „Zegar maltański jest wykonany z czystego złota i wysadzany drogimi kamieniami. Król Hiszpanii otrzymał go w darze od Zakonu Kawalerów Maltańskich^[1]” – przeczytała napis pod zdjęciem. – „Zegar miał być jednym z eksponatów wystawy zatytułowanej «Europejskie dwory królewskie», którą zorganizowało Muzeum Historii Sztuki w Oslo, i był właśnie poddawany

renowacji”.

– Czytacie o Levisie?

Pytanie zadał im Stary Tim, który niepostrzeżenie zjawił się na werandzie i podszedł do ich stolika. Stał oparty o łaskę i zaglądał im przez ramię.

– Levisie?

– Tak go nazywaliśmy, gdy był mały – odparł Stary Tim, wskazując głową zdjęcie w gazecie. – Ale już dawno przestał być małym chłopcem.

Wszyscy troje otworzyli szeroko oczy ze zdumienia.

– Zna go pan?

Mężczyzna przytaknął i pogładził się po długiej siwej brodzie.

– To było wiele lat temu. I wtedy nie nazywał się jeszcze Levi Hildonen.

Cecilia otworzyła usta, ale nie wykrztusiła ani słowa. W jej głowie pojawiło się nagle tak wiele pytań, że nie była w stanie zebrać myśli. Spojrzała na przyjaciół i zrozumiała, że ich również zżera ciekawość.

Stary Tim odchrząknął, odsunął krzesło i usiadł.

– Niestety to nie była miła znajomość – powiedział chropowatym głosem. – Levi był dziwnym i trudnym dzieckiem, a gdy urósł, zacząłem się go bać.

[1] Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana, z Jerozolimy, z Rodos i z Malty (pot. szpitalnicy, joannicy, kawalerowie maltańscy) – katolicki zakon rycerski utworzony w 1113 roku.

5

ZBIEG

Gdy Stary Tim rozpoczął swoją opowieść, Cecilia, Une i Leo pochylili się nad stołem.

– Levi Hildonen mieszkał nad Zatoką Okrętów na długo, zanim przyszedł na świat – wyjaśnił. –

I na długo, zanim twoi rodzice przejęli pensjonat – dodał, spoglądając na Cecilie.

– W gazecie jest napisane, że ma 37 lat – wtrącił Leo.

Stary Tim przytaknął, wyjął fajkę i otworzył woreczek, w którym przechowywał tytoń.

– Przyjechał tutaj jako sześciolatek i już wtedy miał za sobą wiele trudnych przeżyć.

Czekali, aż przygotuje fajkę.

– Jeśli dobrze pamiętam, jego ojciec siedział wtedy w więzieniu, a matka sama była jeszcze dzieckiem. Urodziła go, gdy miała 17 lat, i nie dawała sobie rady. Zamykała go samego w domu na cały dzień. W końcu sąd rodzinny odebrał jej prawa rodzicielskie i w ten sposób małe wyładował tutaj.

– W pensjonacie?

Stary Tim włożył fajkę do ust i wyjął z kieszeni koszuli pudełko zapalek.

– Margit i Gunnar Wiganderowie wzięli go do siebie – wyjaśnił i postukał w fajkę. – Nie mieli własnych dzieci, a bardzo chcieli mieć syna.

Fajka zapaliła się i niebieski dym wzbił się w górę.

– Mieszkał z nimi w gospodarstwie? – spytała Une, spoglądając w stronę niszczących zabudowań.

Mężczyzna przytaknął.

– Adoptowali małego Leviego, ale mieli z nim same zmartwienia.

– Jak to?

– Levi był wiecznie niezadowolony. Ciągłe się złościł. Pamiętam, jak stał z zaciśniętymi pięściami

i darł się wniebogłosy, dopóki nie dostał tego, co chciał. – Stary Tim westchnął ciężko. – Biedni Margit i Gunnar! Pierwsze lata życia ich synka odcisnęły na nim swoje piętno. Jego biologiczna matka nigdy się nim nie zajmowała. Nie otoczyła go miłością, czułością, troską. Nie dała mu poczucia bezpieczeństwa. Wiganderowie nie mieli z nim lekko. Oj nie! Chłopak robił, co chciał. Był kłębny i nie słuchał dorosłych. W szkole też sobie z nim nie radzili. Chciał o wszystkim decydować, a gdy ktoś mu się sprzeciwił, wpadał w szał. Okradał i bił innych uczniów. Ciągłe pakował się w kłopoty, a gdy rozpoczął naukę w gimnazjum, policja zaglądała do nich coraz częściej.

– Nie miał żadnych przyjaciół?

– Często bawił się z Christianem Lassonem.

– Z tym malarzem? – spytał Leo, zerkając w kierunku Domu na Plaży, w którym mieszkał i tworzył znany artysta.

Stary Tim przytaknął.

– Christian wychowywał się w sąsiednim gospodarstwie, ale potem wydarzyła się tragedia.

– Tragedia?

– Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym – wyjaśniła Une, która mieszkała nad Zatoką Okrętów od urodzenia i chociaż nie słyszała o Levim Hildonem, wiedziała, co spotkało rodziców sławnego Christiana Lassona.

– To było w dniu rozpoczęcia roku szkolnego – dodał Stary Tim i przełożył fajkę do drugiego kącika ust. – Odwieźli Christiana do szkoły i pojechali do miasta. I wtedy doszło do wypadku. Zderzyli się z ciężarówką. Christian stracił oboje rodziców. Gdyby to się stało pół roku wcześniej, Margit i Gunnar przygarnęliby go, zamiast adoptować Leviego. Christian był takim dzieckiem, o jakim zawsze marzyli, ale wtedy mieli ręce pełne roboty i Christian został odesłany do krewnych mieszkających na drugim końcu kraju.

– Ale przecież teraz mieszka tutaj? – zauważyła Cecilia.

– Zgadza się – potwierdził z uśmiechem Stary Tim. – Dom Lassonów kupili jacyś ludzie ze stolicy. Traktują go jak letnią posiadłość, ale rzadko tu bywają. Gdy Christian się usamodzielniał, kupił Dom na Plaży.

– Mówił pan, że się go bał?

– Hm?

Leo wskazał zdjęcie w gazecie.

– Podobno bał się pan Leviego Hildonena?

– Bałem się. – Stary Tim przesunął fajkę do kącika ust i zaczął ją żuć. – Levi nigdy nie wyzbył się złości. Wdał się w bójkę ze starym Gunnarem i próbował wciągnąć w to również mnie.

– Bił się pan z Levim?

– Nie miał ze mną żadnych szans. – Stary Tim odchrząknął. – Ale i tak najgorsze było to, co

zrobił zwierzętom.

– Zwierzętom?

– Tak. Co prawda nigdy nie udowodniliśmy mu winy, ale to na pewno był on...

– Co zrobił?

– W tamtych czasach w latarni morskiej mieszkali ludzie – wyjaśnił Stary Tim, wskazując fajkę Ålodden. – Ich córka Tina była w tym samym wieku co Levi i chodziła z nim do szkoły, ale latarnik nie chciał, żeby spędzali razem wolny czas. Tina miała kotkę, która wabiła się Lotte. Któregoś lata Lotte wydała na świat trzy kocięta i latarnik postanowił oddać dwa z nich w dobre ręce. Margit i Gunnar uznali, że opieka nad zwierzęciem pozytywnie wpłynie na Leviego, ale Tina nie zgodziła się powierzyć mu żadnego z kociąt. Pewnego jesiennego poranka wszystkie koty wisiały martwe na jabłoni.

Cecilii z wrażenia zabrakło tchu. Spojrzała na zdjęcie zbiegłego więźnia. W przepastnym spojrzeniu jego ciemnych oczu było coś nieprzyjemnego i przerażającego.

– Z czasem mieszkańcy Zatoki Okrętów nauczyli się nie wchodzić mu w drogę. Zresztą szansa na to, by go spotkać, była niewielka – ciągnął Stary Tim. – Levi skończył przygodę ze szkołą w dziewiątej klasie. Całymi dniami wylegiwał się w domu, a nocą włóczył po okolicy. Pewnego razu przyłapałem go, jak myszkował w mojej kuchni. Wszyscy wiedzą, że tu, nad Zatoką Okrętów, nikt nie zamyka drzwi na klucz. I właśnie pewnej nocy zaskoczyłem go, gdy grzebał w moich szufladach.

– I co się stało?

– Wściekł się. Zwymyślał mnie, jakby to była moja wina. Najgorsze jest to, że nie pierwszy raz zakradł się nocą do mojego domu. W tamtym czasie trzymałem w kuchni kilka butelek piwa, które dziwnym trafem zniknęły.

– Myśli pan, że Levi je ukradł?

– W każdym razie piwo wyparowało i na pewno nie ja je wypilem.

– Co było potem?

– Levi zniknął. Coraz rzadziej go widywaliśmy. Nikt nie miał ochoty rozmawiać o nim z Margit i Gunnarem, ale doszły nas słuchy, że przeprowadził się do miasta.

– A jeszcze później? Co się stało z Wiganderami?

– Nie żyją – wyjaśniła Une.

– To prawda – przytaknął Stary Tim. Wyjął fajkę i oparł ją o kolana. – Gunnar długo chorował. Margit opiekowała się nim aż do końca. Gdy zmarł, Levi nawet nie przyjechał na pogrzeb.

– A Margit?

– Została sama. Dwa lata później również ona zachorowała i umarła – odparł Stary Tim i znowu włożył fajkę do ust. – Hm – mruknął, przyciągając gazetę do siebie. – Aż przykro o tym myśleć... W czasie obchodów siedemnastego maja, gdy po raz pierwszy świętowali z małym Levim, zjawił się

dziennikarz jakiejś lokalnej gazety, który zrobił zdjęcie Leviemu i Margit. Opowiadała o tym z taką dumą. Ale tamto zdjęcie nigdy się nie ukazało. Następnego dnia opublikowano kolorowe zdjęcia wielu dzieci, ale nie było wśród nich jej małego synka, z którym wiązała takie nadzieje. Dzisiaj jego zdjęcie jest w ogólnokrajowej gazecie, ale cieszę się, że Margit tego nie dożyła.

6 DWANAŚCIE UDERZEŃ

W recepcji rozległo się dwanaście uderzeń zegara. Cecilia uśmiechnęła się. Nie słyszała tego dźwięku od roku. Wstała i podeszła do lady.

Przed zegarem stał Aleksandersen, stary zegarmistrz, który mieszkał w pokoju numer 115. Mrużąc oczy, przyglądał się tarczy czasomierza. Zrobił krok do tyłu, wyjął z kieszonki kamizelki zegarek na łańcuszku, po czym podszedł znowu do dużego zegara i ustawił wskazówki.

Ojciec Cecilii nadszedł od strony salonu, niosąc stos białych obrusów.

– Czy to był zegar? – spytał i stanął obok zegarmistrza. – Udało się panu naprawić?

– Tak, znowu chodzi.

– Bardzo dziękuję! – ucieszył się ojciec. – Jestem teraz zajęty, ale odwzajemnię się panu później.

– Nie da się.

Ojciec był już w drodze do sali śniadaniowej. Zatrzymał się zdziwiony, ale nic nie odpowiedział.

Tymczasem Aleksandersen schował zegarek i uśmiechnął się.

– Czas zawsze posuwa nas do przodu – wyjaśnił. – Nigdy do tyłu. I dlatego nie można nic zrobić później.

– Ma pan rację. To może potem?

Zegarmistrz potrząsnął przecząco głową.

– Zresztą, ja niczego za to nie chcę. Miło mi, że mogłem się do czegoś przydać.

– Cóż, w takim razie bardzo dziękuję – odparł uprzejmie ojciec i poszedł dalej.

Do recepcji zbliżyli się Une i Leo.

– Najwyższy czas – skomentowała nastolatka. – Zegar nie chodził od roku.

Aleksandersen znowu wyjął zegarek kieszonkowy i spojrzął na tarczę, żeby sprawdzić, czy ten duży dobrze chodzi.

– Co to jest czas? – spytał nagle.

Leo wyjął z kieszeni iPhone'a.

– Jest 12:04 – odpowiedział.

– Zgadza się – przytaknął. – Ale nie pytałem, która godzina, tylko co to jest czas – wyjaśnił, odwracając się w ich stronę.

Leo wzruszył ramionami.

– Coś, co się odmierza zegarkiem?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Albert Einstein również tak odpowiedział, ale prawda jest taka, że jeszcze nikomu nie udało się wyjaśnić pojęcia czasu. A najdziwniejsze jest to, że i tak wszyscy wiedzą, co to jest czas. Jesteśmy w nim zanurzeni, jak ryba w wodzie. Jest wszechobecny, a jednocześnie nieuchwytny jak tęcza.

Cecilia zauważyła, że czas potrafi płynąć bardzo szybko, a innym razem okropnie się wlecze, ale nigdy nie zastanawiała się nad tym, czym on właściwie jest.

– Tak czy inaczej – ciągnął zegarmistrz – korzystajcie z czasu. Nie spieszcie się. Macie mnóstwo czasu. Czas należy do was!

Na tarczy zegara dłuższa wskazówka przesunęła się z lekkim trzaskiem.

– Co było z nim nie tak? – spytała Cecilia.

– Nic – odparł Aleksandersen. – Ten zegar to prawdziwe arcydzieło. Już się takich nie robi.

– To dlaczego przestał chodzić?

– Nic w tym dziwnego, skoro ktoś wepchnął książkę do skrzyni.

Otworzył drzwi drewnianej szafki, w której poruszało się wahadło, i wskazał miejsce za mechanizmem zegara.

– Dziwna kryjówka. Widać komuś bardzo się spieszyło, więc schował książkę byle gdzie. Zmieściłaby się tam bez trudu, nie zatrzymując zegara, gdyby nie utknęła między sprężynami.

– Dlaczego ktoś miałby tam chować książkę? – zdziwił się Leo.

– Właściwie to nie jest książka, tylko pamiętnik – sprecyzował zegarmistrz i wskazał ladę recepcji. – Położyłem go tam. niewiele w nim zapisków, ale treść ma charakter osobisty.

Cecilia podeszła do kontuaru.

– Do kogo należy? – spytał Leo.

– Nie wiem – odparł Aleksandersen. – Nie czytałem go, tylko przejrzałem pobieżnie. Ale nie znalazłem żadnego imienia ani nazwiska.

Pamiętnik leżał za ladą. Cecilia wzięła go do ręki. Był niewiele większy od iPhone'a, którego używał Leo. Oprawiony w czarną skórę, z boczną przegródką na ołówki.

Cecilia wiedziała, do kogo należał. Widziała go wcześniej. W dłoniach kobiety.

Zajrzała do środka i poznała jej charakter pisma. Okrągłe litery. To był dziennik jej matki.

7

OSTATNIE SŁOWA

Morze było spokojne, fale łagodnie obmywały brzeg, cofały się i znowu wpełzały na ląd.

Cecilia siedziała w cieniu na tarasie przed pensjonatem. Dziennik matki leżał na jej kolanach.

Leo i Une kąpali się razem z Egonem. Mewy krążyły nad nimi leniwie, zataczając szerokie koła. Nawet nie spytali, czy ma ochotę pójść z nimi na plażę. Rozumieli, że chce zostać sama.

Wiedziała, że matka zapisuje swoje myśli. Zawsze trzymała w pobliżu mały czarny pamiętnik. Gdy w jednym brakowało miejsca, kupowała następny. Nie nazywała ich pamiętnikami, tylko notatnikami. Po jej śmierci ojciec znalazł ich całą szufladę. Zawierały głównie krótkie hasła dotyczące tego, co matka planowała zrobić lub kupić. Zrealizowane zadania przekreślała. Czasem w paru krótkich zdaniach opisywała pogodę. Zdarzyło jej się również notować słowa piosenek lub ciekawe cytaty z książek, które właśnie czytała. Czasem słowa zastępowały proste rysunki. Nie robiła notatek codziennie. W te dni, w których coś pisała, w prawym górnym rogu strony umieszczała datę.

Stojąc w recepcji, Cecilia powiodła palcami po przypadkowo wybranych stronach i przebiegła je wzrokiem. W wielu miejscach dostrzegła swoje imię. Przyjrzała się datom i odkryła, że dziennik pochodził z zeszłego lata. Ostatniego lata jej matki.

Dzienniki, które leżały w szufladzie biurka w jej gabinecie, nie skrywały żadnych tajemnic. Być może matka zawstydzilaby się, gdyby się dowiedziała, że inni czytają jej zapiski, ale na pewno nie było w nich nic, co chciałaby ukryć przed najbliższymi. Zwykle nosiła notatnik w swojej torebce, a gdy coś pisała, można go było znaleźć na biurku, za ladą recepcji lub na stole w salonie w prywatnej części pensjonatu.

Cecilia zważyła dziennik w dłoni. Tym razem jednak matka ukryła go, i to w nader dziwnym miejscu. Musiała bardzo się spieszyć, skoro postanowiła schować go w zegarze.

Wiała delikatna morska bryza. Cecilia otworzyła dziennik. Zaczęła od końca, wertowała puste błyszczące kartki, aż trafiła na ostatnie słowa matki. Spojrzała na datę w prawym górnym rogu: 28 lipca. Dzień, w którym Cecilia widziała ją po raz ostatni.

„Wczesny poranek. Niebo jest całkiem czerwone. Zapowiada się piękny dzień”.

Cecilia zamknęła oczy. Nie była pewna, czy chce to czytać. Po chwili postanowiła, że zacznie od początku.

Pierwsze zapiski pochodziły z maja i przywiodły miłe wspomnienia. Matka pisała o tym, że wybrała się z Cecilią do miasta, żeby kupić odświętne ubranie na siedemnastego maja. O tym, że poszły do kawiarni i że cudownie było spędzić czas tylko we dwie.

Treść notatek na kolejnych stronach była mniej osobista. Większość dotyczyła remontu pensjonatu i rezerwacji pokoi na lato. Poza tym matka chwaliła ojca, wspominała o finansach i księgowości, o pogodzie i urokach krajobrazu.

W czwartek 1 lipca pojawiło się zdanie, które Cecilia musiała przeczytać dwa razy.

„L. złożył mi fantastyczną propozycję”.

Nic więcej. Ani kim był tajemniczy L., ani czego dotyczyła propozycja. Przez resztę dnia matka kłóciła się ze stolarzem, który przysłał rachunek na wyższą kwotę, niż ustalili, a wieczorem wybrała się na spacer do latarni morskiej w Ålodden.

Dwa dni później: „L. pojawił się w pensjonacie. Podtrzymał propozycję”.

Dalej matka pisała o tym, że zakwitła dzika róża i że mnóstwo ich rośnie za stromymi skałami nad plażą.

Cecilia opuściła dziennik na kolana i spojrzała na morze. Maszt przepływającej żaglówki odznaczał się na tle błękitnego nieba.

Kim był L.? Dlaczego matka nie używała całego imienia tak jak wtedy, gdy pisała o Cecylii, mężu Alanie, kucharzu Edgarze czy Starym Timie, który czasem jej pomagał?

Czytała dalej w nadziei, że kolejne strony przyniosą odpowiedź na to pytanie.

Matka pisała o wieczorze, gdy urządzili grilla, o tym, co przygotowali, jak smakowało jedzenie i o piosence, która leciała w radiu.

Następny dzień: „Postanowiłam, że to zrobię. Cieszę się na ponowne spotkanie z L.”

Cecilia przewracała strony w pośpiechu, pomijając wpisy odnoszące się do codziennego życia. Szukała tylko tych z tajemniczym inicjałem.

Piątek, 9 lipca: „Pierwsza wizyta u L. Nikt nie widział, jak wchodzę i wychodzę. Jestem taka podekscytowana!”

U L. Czy mogło chodzić o jednego z hotelowych gości? Czy matka była w jego pokoju?

Niedziela, 11 lipca: „Razem z L. przez trzy godziny. Najważniejsze, żeby Alan się nie dowiedział. Jeszcze nie teraz”.

Cecilia przygryzła dolną wargę. Żołądek podszedł jej do gardła. Matka miała przed nimi tajemnice.

Spotkania z L. stały się coraz częstsze. Gdziekolwiek widziała tylko literę L. bez komentarza, innym razem matka pisała, że nie może się już doczekać kolejnego spotkania i że daje to jej ogromną radość i energię.

Poniedziałek, 26 lipca: „Nie sądzę, żeby Alan się czegoś domyślał, ale wkrótce i tak się o wszystkim dowie”.

– Nie idziesz się kąpać?

Cecilia podniosła wzrok. To był ojciec. Stał na trawniku przed tarasem z kosiarką do trawy.

– Może później – odparła i ukryła w dłoniach notatnik matki.

– Stało się coś?

– Nie, chcę tylko trochę odpocząć.

– Nie wyspałaś się?

– Nie – przyznała, myśląc o dźwiękach, które nie pozwoliły jej tej nocy zmrzyć oka.

– Jeszcze dwa dni i twój pokój będzie gotowy.

– Chciałabym dzisiaj spać w pokoju na wieży.

– Dobrze. Sama?

– Może Une zgodzi się przenocować.

– Świetnie – skinął głową i uruchomił kosiarkę.

Cecilia przyglądała się, jak ojciec obsługuje urządzenie, w przód i w tył, w przód i w tył. Po chwili skreślił za róg domu i odgłos silnika wyraźnie przycichł.

Otworzyła dziennik. Doszła do ostatniej strony. Do ostatniego dnia życia matki. Tego, który zaczął się od czerwonego nieba.

„Przyjęcie z okazji lata trwa w najlepsze, pisała matka. Siedzę obok Ebby Blankenberg, która opowiada fantastyczne historie z czasów, gdy mieszkała w Paryżu”.

Cecilia skinęła głową w zamyśleniu. Ebba Blankenberg była jednym z ich stałych gości. Ubiegłe lato również spędziła w pensjonacie. To ona zrobiła zdjęcie, na którym matka ma na sobie inną suknię niż ta, w której znaleziono ją martwą.

Zostały trzy ostatnie zdania. Trzy zdania, które wprawiły Cecilie w zdumienie.

„Muszę się przebrać, zanim spotkam się z L. Może to już ostatni raz? Mam taką nadzieję”.

8

GOSPODARSTWO WIGANDERÓW

Słońce stało wysoko na niemal bezchmurnym niebie. Dzięki delikatnej bryzie było przyjemnie ciepło, ale nie upalnie.

Cecilia zamknęła dziennik, położyła go na kolanach i zakryła dłońmi. Mrużąc oczy, wpatrywała się w cienką szarą linię, która oddzielała niebo od morza. Z zamyślenia wyrwały ją śmiech i okrzyki. Une i Leo udało się namówić Egon, żeby wszedł z nimi na pływający pomost, i teraz huśtali nim na boki. Egon wydał z siebie krótkie szczeknięcie, po czym wskoczył do wody. Une i Leo popłynęli za psem na białą piaszczystą plażę. Gdy dotarli do brzegu, Egon otrząsnął się i pobiegł do pensjonatu. Nastolatkowie zabrali ręczniki i ruszyli za nim.

– Ale gorąco – powiedział Leo, narzucając ręcznik na ramiona. – Musisz się potem do nas przyłączyć.

Cecilia skinęła głową. Nie chciała rozmawiać o tym, co przeczytała. W każdym razie jeszcze nie teraz. Une i Leo zdawali się to rozumieć, bo żadne z nich nie spytało o pamiętnik.

– Chcemy się wybrać do gospodarstwa Wiganderów. Tylko tak, żeby rzucić okiem na dom. Jedziesz z nami?

Cecilia odwróciła się i spojrzała w kierunku opustoszałych zabudowań na wzgórzu za pensjonatem, otoczonych strzelistymi jesionami. Promienie słońca połyskiwały na blaszanym dachu szopy, ale było w tym miejscu coś ciemnego i ponurego, co skutecznie zniechęcało do odwiedzin.

– Jasne – powiedziała mimo wszystko. – Tylko muszę skoczyć na chwilę do pokoju.

– Okej. A my idziemy się przebrać.

Cecilia weszła do pokoju numer 118 i rzuciła okiem na drzwi prowadzące do ogrodu na tyłach domu. Do wieczora miała zamiar spakować swoje rzeczy i przenieść je do pokoju na wieży.

Otworzyła szufladę biurka, podniosła kilka czasopism i ukryła pod nimi dziennik matki. Zanim

wyszła, sprawdziła drzwi do ogrodu. Były zamknięte.

Une i Leo czekali na nią przed pensjonatem. Do gospodarstwa Wiganderów pojechali na rowerach. Egon biegł za nimi, ciężko dysząc. Ostatni odcinek zwirowej drogi był wyboisty i jadąc, wzbijali za sobą tumany kurzu.

Dom Wiganderów w słońcu nadal wydawał się oslepiająco biały, chociaż farba wyblakła i zaczęła się łuszczyć. Ogród zarósł chwastami i krzakami, a na środku podwórza wybujałe pokrzywy otaczały stary zardzewiały kombajn. Ściany domu oplecione były dzikim winem, które zaczęło już zasłaniać popękane szyby okien.

Ciągające się dookoła pola uprawne od wielu lat leżały odłogiem, a wysoka wałaca się stodoła nie miała ani jednej prostej ściany i ani jednego prostego kąta.

Gdy odstawiali rowery, z pobliskiego drzewa zerwało się stado wron i kracząc, przeleciało obok nich. Przed domem stała pusta suszarka na bieliznę. Leo złapał i pchnął jeden z prętów. Zardzewiała suszarka zaskrzypiała przeciągle i wykonała półobrót.

Egon podbiegł do Une i cicho zawarczał.

– Co my tu właściwie robimy? – spytała Cecilia.

– On kiedyś tutaj mieszkał – odparł Leo. – Levi Hildonen. Kto wie, może teraz się tu ukrywa?

– Nawet tak nie żartuj!

Powiał wiatr i liście na drzewach zaszumiały.

– Wchodzimy do środka? – spytał Leo.

– To chyba nie będzie takie proste – stwierdziła Une, wskazując zabite deskami drzwi wejściowe.

Cecilia podeszła do jednego z brudnych okien i przyłożyła dłoń do szyby. Parapet pokryty był pajęczynami i warstwą martwych much z uniesionymi do góry odnóżami. Wypłowiałe zasłony były zaciągnięte, ale przez wąską szczelinę udało jej się dostrzec w ciemności ławę i stół kuchenny.

– Obejdźmy dom dookoła – zaproponował Leo. – Może jest jakieś tylne wejście.

– Nie wiem, czy właścicielowi to by się spodobało – zaprotestowała Cecilia.

– Właścicielem jest Levi Hildonen – skomentowała Une. – A jemu jest chyba wszystko jedno.

Po drugiej stronie budynku leżały stosy rupieci i żelastwa. Stare koła od roweru, części samochodowe, butelki z huszczącymi się etykietami, deski, cegły i kawałki cementu. Stary pokryty rdzą żeliwny piec z ziejącą dziurą z boku stał oparty o mur.

– Pomyślcie, jak pięknie musiało tu kiedyś być! – westchnęła Une.

Na kamiennych płytach tarasowych tuż przy ścianie domu stał okrągły stolik upstrzony zaschniętymi ptasimi odchodami i dwa zardzewiałe krzesła ogrodowe. Duży krzak róży piął się przed oknem salonu. Drzwi na taras były zabite dwiema deskami. Za drzwiami wisiały grube brązowe zasłony.

– Może tędy dostaniemy się do środka – powiedział Leo i stanął na drewnianej klapie

prowadzącej do piwnicy. Popękany wąż porastała wysoka trawa.

– Właściwie po co mamy tam wchodzić?

Leo spojrział na przyjaciółki, jakby zadały mu najgłupsze pytanie na świecie.

– A dlaczego nie? – spytał. Złapał uchwyt i podniósł go do góry. Gdy odsuwał klapę, zaskrzypiały zawiasy. Natychmiast poczuł zapach pleśni i stęchlizny.

W głębi duszy Cecilia musiała przyznać, że ona również miała ochotę zwiedzić stary dom.

– Dziwne, że drzwi do piwnicy były otwarte, a wszystkie inne wejścia zabite deskami – zauważył Leo.

Une ukucnęła i zajrzała do środka.

– Nic nie widzę – powiedziała. – Szkoda, że nie zabraliśmy latarki.

– Proszę bardzo – odparł Leo i wyjął z kieszeni iPhone'a. Kliknął dwa razy i włączył lampę błyskową. Skierował wiązkę ostrego światła na schody i zszedł pierwszy. Za nim ruszyła Cecilia.

Une została na górze z Egonem.

– On nie chce zejść – wyjaśniła.

– To go przenieś – podsunął jej Leo.

Une podniosła psa.

– Coś tu leży – powiedziała i postawiła psa z powrotem na ziemi.

Cecilia i Leo spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Une podniosła zardzewiałą kłódkę, która leżała ukryta w wysokiej trawie.

– Na pewno wisiąca na drzwiach do piwnicy – stwierdziła. – Ktoś musiał ją zerwać.

Leo wyjął jej kłódkę z rąk i dotknął palcami kilku świeżych śladów piłowania na czerwonej od rdzy stali.

– Może dajmy sobie spokój? – zaproponowała Cecilia, zaglądając do ciemnego pomieszczenia.

Przez chwilę stali nieruchomo i nasłuchiwali. Z oddali dolatywał szum fal, ale poza tym panowała niczym niezamącona cisza. Żadnych odgłosów, żadnych niepokojących dźwięków.

– Rzucimy tylko okiem – zdecydował Leo i zaczął schodzić po schodach.

Nastolatki ruszyły za nim. Tym razem Egon nie stawiał oporu. Przez chwilę ich sylwetki rzucały cienie, ale wkrótce zewsząd otoczyła ich ciemność i Leo musiał znowu włączyć latarkę w iPhone.

Schody zaprowadziły ich do niskiego pomieszczenia o otynkowanych na biało ścianach, które toczył grzyb. Na dole stały puste słoiki po dżemach, konserwy i butelki z wypisanymi odręcznie etykietami.

Żadne z nastolatków nie odezwało się ani słowem. Lodowata cisza biła od ścian i spowijała piwnicę niewidzialną mgłą.

– Okropne miejsce – powiedział Leo.

W ciasnym pomieszczeniu jego głos zabrzmiał tak, jakby dobiegał z wnętrza studni.

– Nie ma tu nic ciekawego – stwierdziła Cecilia. – Wracajmy.

– Tam stoi jakaś drabina – zauważyła Une i zrobiła kilka kroków w jej stronę.

Leo skierował na nią snop światła. Do jednej ze ścian przybita była wąska drabina sięgająca sufitu.

– Tu jest wąż! – zawołała Une, stając na pierwszym szczeblu. W deskach sufitowych były zawiasy i wyraźny zarys kwadratowej klapy.

– Da się otworzyć?

Une weszła wyżej i przyłożyła dłoń do klapy, która powoli się uniosła.

– Zajmiecie się Egonem? – spytała i wspinała się dalej.

Leo podniósł psa i przycisnął go jedną ręką do piersi. Gdy Une dotarła na sam szczyt, położyła się na brzuchu i odebrała od niego psa.

Cecilia zaczekała, aż Leo będzie na górze, i ruszyła za nim.

Znaleźli się w kuchni, której niewielki fragment Cecilia dostrzegła z zewnątrz, gdy zaglądała przez brudne okno. Szafki były pootwierane, półki puste, a stara kuchenka i lodówka odsunięte od ściany. Na blacie stała samotna, nieumyta filiżanka po kawie. W zlewie leżał pęknięty talerz.

Bez słowa przeszli do salonu. Leo odsunął zasłony. Światło słoneczne wpadło do pokoju wprost na nierówną podłogę z desek. Kwieciste tapety były wypłowiałe, z jasnymi prostokątami w miejscach, w których niegdyś wisiały zdjęcia. Wskazówki starego zegara ściennego nie poruszały się. Wokół stołu stały cztery krzesła. Regał na książki zionął pustką. Na środku pokoju zobaczyli kanapę z kilkoma kocami i mały okrągły stolik. Wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu, jakby to była jedyna rzecz, której czas nie był w stanie zatrzymać.

Egon przyłożył pysk do podłogi, wciągnął kurz i zaczął parskać. Potem ruszył wąskim korytarzem i zniknął za drzwiami po lewej stronie. Cecilia i Une poszły za nim i znalazły się w łazience. W środku nie było nic poza poźółką porcelanową umywalką, toaletą, wanną i pustą szafką na lekarstwa z popękanyim lustrem.

Egon odwrócił się na szarych kafelkach i wyszedł na korytarz, merdając wesoło ogonem, dopóki nie zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami. Wtedy uniośł sztywno ogon i znieruchomiał.

Nastolatki spojrzely na siebie, po czym Une położyła ostrożnie dłoń na klamce i otworzyła drzwi. Dziewczyny wpuściły Egona do środka, a same zostały na korytarzu.

Pokój był pomalowany na ciemnoniebiesko. Przy ścianie stało łóżko z materacem, przed oknem biurko, a na ścianie wisiały plakaty zespołów rockowych. Motorhead, Nirvana i Metallica.

– To musiał być jego pokój – powiedziała Une i zajrzała do środka. Cecilia podeszła do biurka i odsunęła zasłony. Z okna rozciągał się widok na pensjonat. Nagle Egon wydał z siebie krótkie szczeknięcie. Cecilia wzdrygnęła się. Pies usiadł przed lekko uchylonymi drzwiami szafy. W szparze leżała czarna rękawiczka. Egon znowu zaszczekał i chwycił ją zębami.

– Puść! – rozkazała Une. Wyciągnęła mu ją z pyska i rzuciła na łóżko.

– Dziewczyny! – zawołał Leo z salonu. – Chodźcie tutaj i zobaczcie, co znalazłem.

Cecilia zamknęła drzwi szafy i wyszła za Une z pokoju. Leo stał przed kanapą i trzymał w dłoniach skrawek papieru.

– Co to jest? – spytała Cecilia.

– To leżało tutaj na podłodze – powiedział, wskazując trzy butelki po piwie.

– Ale co to jest? – powtórzyła pytanie.

– Bilet autobusowy – wyjaśnił i wyciągnął go przed siebie. – Skasowany 14 lipca. To znaczy pięć dni temu.

Une wyjęła mu bilet z ręki.

– Dzień po tym, jak Levi Hildonen uciekł z więzienia – powiedziała drżącym głosem.

Kurz tańczył w promieniach matowego światła wpadającego przez okno. Pośród wszystkiego, co stare, zakurzone i zapomniane, dostrzegli sporo śladów świadczących o tym, że całkiem niedawno ktoś tu był. Torba foliowa z supermarketu Rema leżała wepchnięta częściowo pod kanapę. Na stole znaleźli puste opakowanie po orzeszkach ziemnych i ogryzek jabłka, a spod koców na kanapie wystawało czasopismo.

Cecilia poczuła, że jej serce zaczyna mocniej bić. Ogarnęło ją to samo nieprzyjemne uczucie, które nie pozwoliło jej zmrudzić oka w nocy, gdy ktoś próbował zakraść się do jej pokoju. Po plecach przeszedł ją dreszcz.

– Spadamy stąd! – powiedział cicho Leo i ruszył w stronę kuchni.

– Zaczekaj – szepnęła Cecilia. Serce waliło jak oszalałe, ale stres nie przeszkodził jej trzeźwo myśleć. Podeszła do okna, zaciągnęła zasłony i dopiero wtedy pobiegła za przyjaciółmi. Une była już na dole i odbierała Egoną.

Nagle gdzieś w głębi domu zaskrzypiały drzwi.

– Pośpiesz się! – poprosiła Cecilia, spoglądając ze strachem za siebie.

– Okej.

Leo dał jej znak, żeby zeszła przed nim. Gdy on również znalazł się na dole, opuścił cicho kłapę. Przeszli po omacku przez ciemne pomieszczenie w stronę światła sączącego się przez otwór piwniczny. Une wyszła pierwsza i przytrzymała drzwi, a gdy Cecilia i Leo znaleźli się na zewnątrz, szybko je zamknęła. Potem pędem okrążyli dom i wskoczyli na rowery.

Cecilia odetchnęła z ulgą, chociaż wciąż czuła ciarki na plecach. Spojrzała za siebie. W ciszy spowijającej gospodarstwo Wiganderów było coś złowróżbnego.

9

KLUCZ

Letni wieczór był ciepły i bezwietrzny. Okna pokoju na wieży były otwarte na oścież. Z oddali dobiegały odgłosy rozmów i dźwięki muzyki.

Une podniosła do oczu lornetkę i spojrzała w stronę posiadłości Wiganderów, leżącej w cieniu okalających ją drzew.

– Myślicie, że to był on? – spytała.

– A kto inny?

Siedziała pochylona nad gazetą i wpatrywała się w zdjęcie Leviego Hildonena.

– Może powinniśmy kogoś zawiadomić? – zastanawiała się na głos. – Facet jest poszukiwany przez policję. Może nadal kręci się gdzieś w pobliżu?

Une opuściła lornetkę.

– Tata będzie wściekły, jeśli się dowie, że byliśmy w domu Wiganderów.

– Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy bilet przed domem.

– Wtedy będą się z nas śmiać – stwierdził Leo, zabierając Une lornetkę. – Przecież to tylko bilet autobusowy. Lepiej kontynuujemy obserwację. Może go wytropimy.

Żadna z dziewcząt nie zdążyła skomentować jego propozycji, bo nagle Leo zawołał:

– Tam!

Odsunął lornetkę od oczu i mrużąc powieki, spojrzał w tym samym kierunku, po czym znowu podniósł lornetkę.

– Ktoś tam jest – oznajmił. – Widziałem kogoś obok stodoły.

Cecilia znalazła drugą, nieco mniejszą lornetkę i przyjrzała się gospodarstwu Wiganderów. Zabudowania zaczęły otaczać mrok. Rozglądała się uważnie, ale nic nie zobaczyła. Nagle zamarła z wrażenia. Na lewo od krzywego budynku stodoły coś się poruszyło. Jakiś cień.

Przycisnęła lornetkę do oczu i czekała. Chwilę później Leo wybuchnął śmiechem.

– To sarna – powiedział i podał lornetkę Une.

Cecilia również się roześmiała. Zwierzę wychyliło się zza stodoły, uniosło łeb i nastawiło uszu.

Potem zrobiło kilka kroków do przodu, pochyliło się i zaczęło skubać trawę.

– Jaka piękna! – zachwyciła się Une.

Cecilia odłożyła lornetkę.

– Wydaje mi się, że w nocy ktoś próbował wejść do mojego pokoju – zwróciła się do przyjaciół.

– Jak to?

– Z zewnątrz dobiegały jakieś odgłosy. Jakby ktoś chciał sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz.

Une spojrzała na nią.

– Mam nadzieję, że były. A jeśli to był Levi Hildonen?

– Och, nawet tak nie mów! – Cecilia wzdrygnęła się jakby z zimna. – Niby czego miał szukać w moim pokoju?

– Tego nie wiem, ale pamiętacie, co opowiadał Stary Tim? Że Levi Hildonen zakradał się nocą do cudzych domów.

Cecilia znowu spojrzała przez lornetkę. Sarna podniosła łeb i popatrzyła w jej stronę swoimi dużymi brązowymi oczami. Nagle odskoczyła w bok i zniknęła między drzewami, jakby coś ją wystraszyło.

– Tak czy siak, nie zamierzam spać więcej w tamtym pokoju – powiedziała zdecydowanym tonem. – Będę nocowała tutaj do czasu, aż tata nie wyremontuje mojego starego pokoju.

– Mogę nocować z tobą – zaproponowała Une.

– Byłoby wspaniale.

– Pomóżesz mi przenieść rzeczy z pokoju 118?

– Ja ci pomogę – zaofiarował się Leo i nie namyślając się, ruszył w stronę schodów.

Po drodze zahaczyli o kuchnię i zabrali czarny plastikowy worek, do którego zamierzali włożyć pościel.

– Rozmawiałaś z tatą? – spytała Une, gdy otworzyli drzwi do pokoju.

– Tak, zgodził się, żebym nocowała na wieży. Powiedziałam mu, że dotrzymasz mi towarzystwa – zapewniła Cecilia. – W ten sposób zyska dodatkowy pokój dla gości.

Leo dostał polecenie sprzątnięcia biurka i opróżnienia szuflad, Cecilia zajęła się szafą na ubrania, a Une łóżkiem. Nastolatki szybko wykonały swoje zadania, natomiast Leo miał problem z otwarciem najwyższej szuflady. Wyglądało na to, że coś ją blokuje. Chłopak ciągnął za uchwyt, ale szuflada nawet nie drgnęła. Leo wyjął więc środkową i próbował podważyć górną, ale bez powodzenia.

Właśnie do tej szuflady Cecilia schowała dziennik matki. Musiał się zaklinować razem z przyborami toaletowymi.

– Zaczekaj! – poprosiła, ale było już za późno. Leo zacisnął zęby i szarpnął z całej siły. Szuflada ustąpiła i nagle cały pokój wypełnił się zapachem kwiatów.

Chłopak wylądował na środku pokoju z szufladą między nogami, stłuczoną butelką perfum i mokrymi plamami na T-shircie.

Egon zbliżył do niego pysk, zaczął węszyć, ale natychmiast cofnął się ze skowytym.

– Przepraszam – wyjąkał Leo. – Zacięła się.

Cecilia nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale szybko podbiegła do szuflady i wyjęła z niej dziennik matki. Również na niego spadło kilka kropel kwiatowych perfum, ale poza tym nic mu się nie stało.

– Coś tam wisi – powiedział Leo, wskazując otwór między blatem biurka a środkową szufladą.

Podszedł na czworakach do biurka i wsunął rękę do szpary.

– Tam jest jakiś klucz – oznajmił. – Przyklejony taśmą do blatu – dodał, odrywając taśmę. Razem z kluczem wyjął przyczepioną do niego kartkę.

– To twój klucz? – spytała Une, zwracając się do Cecili.

– Nigdy go nie widziałam – odparła i wzięła go do ręki. Na błyszczącym metalu znajdował się napis „YALE”.

Leo rozłożył kartkę. Papier był sztywny, pozółkły na brzegach i w wielu miejscach przedarty na linii zgięcia. Musiał być o wiele starszy od klucza.

Wstał i położył kartkę na biurku. Była to mapa jakiegoś budynku z długimi korytarzami i pokojami o niezwykłych kształtach. Tusz był stary i brązowy, ale w jednym z najmniejszych pomieszczeń widniał czerwony znak X.

– Co to jest? – spytała Une, ale nie otrzymała odpowiedzi.

W prawym dolnym rogu znajdował się numer: 246/312-3.

– Dziwne... – skomentowała Cecilia, przesuwając palec wzdłuż linii na mapie. – W każdym razie w pensjonacie nie ma takich pokojów.

– Ciekawe, kto ukrył mapę pod biurkiem.

– Trudno powiedzieć. Równie dobrze mogła tam leżeć całymi latami.

Leo pochylił się, żeby przyjrzeć jej się z bliska.

– Mapa wygląda na bardzo starą – stwierdził i postawił palec na czerwonym iksie. – Ale znak zrobiono niedawno. Tak jak klucz.

Ostrożnie złożył kartkę i powiedział:

– Pozostaje nam tylko jedno.

– Co?

– Dowiedzieć się, co oznacza ten X.

10

CZAS PEŁNIE

Frank Kobolt, dziwny gość ze starym wydaniem „VG”, również następnego dnia zszedł pierwszy na śniadanie. Usiadł przy tym samym stoliku co pierwszego dnia, lecz nie miał przy sobie gazety.

Sala zapełniała się gośćmi. Do Cecylii docierały strzępy rozmów. Ludzie planowali, jak spędzą dzień. Rodzina z dziećmi wybierała się na plażę, inna do miasta. Młoda para, która zameldowała się w pensjonacie poprzedniego wieczoru, rozłożyła mapę okolicy i dyskutowała nad trasą wycieczki. Przyszli na śniadanie ze spakowanymi plecakami i w butach traperkach.

Cecilia podeszła do mężczyzny siedzącego przy najdalszym stoliku i wskazując na dzbanek, zapytała:

– Dodać panu kawy?

Chorobliwie błady Frank Kobolt podniósł na nią wzrok i pokiwał milcząco głową.

– Przyjechał pan tutaj na wakacje? – spytała, napełniając filiżankę.

– Hm?

– Spędza pan u nas urlop? – powtórzyła pytanie. Zwykle w taki sposób zagadywała gości.

Mężczyzna potrząsnął głową i pochylił się nad talerzem. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie ma ochoty na rozmowę. Cecilia wróciła do kuchni, stanęła przy drzwiach i zaczęła mu się przyglądać. Rzucił długie spojrzenie za każdym nowym gościem wchodzącym do sali i ukradkiem ich obserwował. Poza tym jadł bardzo wolno. Ostrożnie wbijał widelec w jedzenie, odkrajał kawałek i podnosił do ust, ale polykał tylko co drugi kęs. Równie często odkładał widelec na talerz i dyskretnie rozglądał się po sali.

Cecilia nie spuszczała go z oka również wtedy, gdy sprzątała sąsiednie stoliki. Odniosła wrażenie, że najbardziej interesują go goście płci męskiej. Na rodziny z dziećmi i zakochane pary nie zwracał najmniejszej uwagi.

Długowłosy mężczyzna, który dzień wcześniej zostawił na werandzie gazetę ze zdjęciem Leviego Hildonena, nagle pojawił się przy wejściu. Okulary przeciwsłoneczne miał odsunięte na czoło. Również dzisiaj przyniósł gazetę. Rozłożył ją na jednym z najbliższych stolików i zaczął nakładać jedzenie na talerz. Kobolt śledził wzrokiem każdy jego ruch.

– Dzień dobry – pozdrowiła go Cecilia.

– Dzieńdoberek – uśmiechnął się tamten. – Załatwiliście piękną pogodę.

Cecilia odwzajemniła uśmiech.

– Przyjechał pan na wakacje?

– Tak, chyba można tak to nazwać. W każdym razie cudownie jest oderwać się trochę od codzienności.

Gdy Cecilia znowu się odwróciła, Kobolta już nie było. A ponieważ jej nie minął, musiał wyjść przez lewe skrzydło budynku.

– Jak ci się spało?

Pytanie zadał Leo. Stał za nią i wyglądał na lekko zmęczonego, chociaż spał we własnym łóżku. Ale wkrótce i on musiał się przeprowadzić, ponieważ ta część prywatnego skrzydła, w którym Leo mieszkał ze swoją matką, była kolejnym punktem na liście remontowej ojca.

– Dużo lepiej niż wczoraj – odparła i spojrzała na zegarek. Leo zaczynał dyżur w chwili największego ruchu. Dobrze mieć wtedy kogoś do pomocy.

– Widzę, że ktoś tu jest naprawdę głodny – powiedział Leo, wskazując Christiana Lassona, który zjawił się w swoim fartuchu malarskim. Wyglądał na zdenerwowanego. Szedł energicznym krokiem, wprawiając w ruch szepę zmierzwionych loków.

Lasson bardzo rzadko jadł śniadanie w pensjonacie, za to chętnie przychodził na lunch i obiadokolację, a rachunek uiszczał raz w miesiącu. Teraz stał przy stole bufetowym i częstował się bez zahamowań. Na jego talerzu piętrzył się już stos kromek chleba, wędlin, sera, warzyw, a jemu wciąż było mało.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebym zabrał to ze sobą? – spytał w końcu i nie czekając na odpowiedź, ruszył do wyjścia. – Talerz odniosę. Później zapłacę.

– Nie ma pan czasu, żeby usiąść i zjeść na miejscu? – spytał Leo.

– Czasu? – powtórzył artysta malarz, jakby nie rozumiał pytania.

– W porządku – Cecilia skinęła głową z uśmiechem i odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

– Ale mu się spieszy – skomentował Leo, przyglądając się, jak Christian Lassen niemal biegnie do Domu na Plaży.

– Czasu nie można mieć – zauważyła Cecilia.

– Co to znaczy?

– Tak powiedział Aleksandersen.

– Ten zegarmistrz, który znalazł dziennik twojej matki?

Przytaknęła.

– Myślałam o tym wczoraj przed zaśnięciem – mówiła dalej. – Czasu nie można mieć albo nie mieć. Czas jest czymś, co się bierze. Z czego się korzysta.

Leo potrząsnął głową.

– Nie powinnaś tyle myśleć – uśmiechnął się do niej. Jego zielone oczy błyszczały zawadiacko. – Lepiej skup się na czymś sensownym.

– Na przykład na czym?

Wzruszył ramionami i skierował się do kuchni.

– Na przykład na tym, czego dotyczy mapa, którą znaleźliśmy – zaproponował. – I co można otworzyć tamtym kluczem.

Reszta śniadania minęła szybko. Było dużo gości i dużo pracy. A im więcej mieli do zrobienia, tym szybciej płynął czas.

Gdy sala w końcu opustoszała, wyszli na taras. Mimo wczesnej pory powietrze drżało od upału. Było niemal bezwietrznie. Drzewa i krzewy straciły soczysty zielony kolor, a flagi przed pensjonatem zwisały smętnie.

– *Cześć, skarbie! Siedzisz taaam? Mój skarbie!*

Papuga stała z przechyloną głową. Podniosła jedną nogę i wydawała dźwięki przypominające głośnie całusy.

– Co za gaduła! – zaśmiała się Cecilia.

– *Mój skarbie!* – powtórzył Arthur, strosząc piórka.

Nadszedł Stary Tim. Można było według niego nastawiać zegarek. Zjawiał się, jak tylko skończyli obsługiwać gości. Wiedział, że w dzbankach zostało jeszcze trochę kawy.

– Wszystko robię wolno – powiedział, odstawiając powoli laskę i siadając na jednym z krzeseł.

– Kawy? – spytała Cecilia i zanim Stary Tim zdążył odpowiedzieć, już była w drodze do kuchni.

– No i? – powiedział, gdy wróciła i postawiła przed nim filiżankę. – Jak tam teraz wygląda?

– Gdzie?

Mężczyzna podniósł filiżankę do ust. Żyłki widoczne pod skórą jego szorstkich dłoni przypominały niebieskie kreski.

– W gospodarstwie Wiganderów – odparł i napił się kawy. – Widziałem, jak wczoraj wieczorem jechaliście tam na rowerach.

– To jedna wielka ruina – odpowiedział Leo.

– Wyobrażam sobie – Stary Tim skinął głową. – Nie byłem tam od lat. Zresztą nikt tam chyba teraz nie zagląda – dodał.

Cecilia i Leo wymienili spojrzenie, jakby się zastanawiali, czy wspomnieć Staremu Timowi

o bilecie autobusowym.

– Dlaczego nikt tam nie mieszka? – spytał Leo. – Co się stało z właścicielami gospodarstwa?

– To smutna historia – odparł mężczyzna i pogłaskał się po brodzie. – Margit i Gunnar chcieli pomóc Leviemu i popadli w długi. Ciągłe musieli płacić za rzeczy, które zniszczył lub ukradł. Gdy przywłaszczył sobie cudzy samochód i wjechał nim w inne auto, musieli wziąć pożyczkę pod zastaw domu. I to kilka razy, więc gdy oboje zmarli, zostawili po sobie masę długów. Bogaty rolnik z Vrengen wykupił ich długi, ale nie był zainteresowany gospodarstwem, tylko lasem i pastwiskiem. I dlatego zabudowania gospodarcze, nadgryzione zębem czasu, przedstawiają tak żaloszny widok.

Cecilia spojrzała w stronę posiadłości Wiganderów. Budynki wyglądały na całkowicie opuszczone.

– Ząb czasu – powiedziała w zamyśleniu.

– Tak, gospodarstwo chyli się ku upadkowi.

Cecilia odwróciła się do Starego Tima i spytała ni stąd, ni zowąd:

– Co to jest czas?

Mężczyzna wywrócił oczy ku niebu, jakby pytanie było zbyt trudne, by na nie odpowiedzieć. Podniósł filiżankę do ust. Milczał, jakby zbierał myśli.

– Czas to ruch – odparł w końcu, opierając filiżankę o kolana. – Gdyby wszystko tkwiło w bezruchu, nic by się nie zmieniło. Jedyne, co trzeba zrobić, to zdecydować, na co chce się przeznaczyć czas, który się otrzymało – dodał i przeniósł wzrok na gospodarstwo Wiganderów, jakby chciał im dać do zrozumienia, że Levi Hildonen jest przykładem osoby, która nie wykorzystała właściwie swojego czasu.

Cecilia spojrzała w tym samym kierunku. Stary Tim myślał to samo co ona. Czasu nie można mieć, ale można z niego korzystać.

– Rozumiem już, dlaczego uciekł – powiedziała, nie potrafiąc sobie do końca wyobrazić, jak to jest siedzieć w więzieniu i czuć, jak czas powoli płynie.

– Każdy dzień to dzień stracony, który okrada cię z życia – przytaknął w zamyśleniu. – Czas wlecze się niechętnie, kiedy człowiek jest sam, pozbawiony kontaktu z rodziną i przyjaciółmi. Jest się zdany na towarzystwo strażników więziennych, którzy decydują za ciebie, co ci wolno, a czego nie. Zupełnie tak, jakby twoje życie składało się wyłącznie z czekania. Jakby twoje życie zawiesiło się i nawet twoje najskrytsze myśli i uczucia były kontrolowane przez innych.

Cecilia przyglądała mu się z zaciekawieniem. Twarz Starego Tima była pokryta zmarszczkami i bruzdami, które świadczyły o tym, że wiele w życiu przeszedł. Miała ochotę zapytać, skąd tyle wie o życiu w więzieniu, ale zabrakło jej odwagi.

– Ale wiem jedno – ciągnął Stary Tim. – Że od czasu nie da się uciec.

11

KRZYŻÓWKA

Silne ręce Starego Tima lekko drżały, gdy opróżniał filiżankę i odstawiał ją na stolik. Wstał, zabrał łaskę i zwrócił twarz w stronę morza. Potem pokiwał głową, jakby się ze sobą zgadzał.

– Dziękuję za kawę – powiedział i zaczął schodzić powoli po schodach.

– *Mój skarbie!* – zawołał za nim Arthur, poruszając głową w górę i w dół.

Stary Tim szedł dalej. Cecilia i Leo odprowadzili go wzrokiem. Poruszał się wolno i co któryś krok przystawał, żeby odpocząć.

– Musimy zrobić to, o czym mówił Stary Tim – skwitował Leo.

– To znaczy co?

– Wypełnić czas.

– Ale jak?

Leo rozejrzał się dookoła.

– Coś się tutaj dzieje – powiedział i dla potwierdzenia rzucił kilka haseł: – Gospodarstwo Wiganderów, Levi Hildonen, goście czytający stare gazety, ludzie spacerujący nocą po okolicy, ukryte klucze i stare mapy. Jest czym wypełnić czas, co?

Cecilia przytaknęła. Co prawda ją najbardziej interesował dziennik matki i jej spotkania z tajemniczym L., ale na razie nie miała ochoty z nikim o tym rozmawiać.

Po nocy spędzonej w pokoju na wieży Une poszła do domu. Teraz wracała drogą przy plaży z Egonem kręcącym się wokół jej nóg. Gdy mijali Starego Tima, zatrzymali się. Starszy mężczyzna pochylił się i podrapał psa za uchem, zanim Egon pobiegł dalej. Chwilę później był już na tarasie.

– Dobrze, że jesteś – ucieszył się Leo, gdy Une dotarła na miejsce. – Czeka nas dużo pracy – dodał i powtórzył to, o czym rozmawiał z Cecilią.

– Myślałam o tym kluczu i mapie – odpowiedziała Une. – Myślę, że ukrył je ktoś, kto wcześniej

zajmował ten pokój. Powinniśmy przejrzeć listę gości.

– Dobry pomysł – stwierdził Leo, rzucając okiem na drzwi prowadzące do recepcji. – Możesz się tym zająć? – zwrócił się do Cecilii.

– Muszę tylko zostać przez chwilę sama – przytaknęła. – Tata zadalby mi mnóstwo pytań, gdybym weszła do systemu w jego obecności.

– Okej. Chyba wiem, co możemy zrobić do tej pory – powiedział Leo.

– Co?

– Przejrzeć wydanie „VG” z 28 lipca zeszłego roku.

Cecilia pokręciła zdecydowanie głową. Kilka tygodni temu zdemaskowali przemytników, którzy zatrzymali się w pensjonacie, i pod ich nieobecność zakradli się do ich pokoi. Wiedziała, w którym pokoju mieszka mężczyzna z żółtką gazetą, ale nie miała ochoty po raz drugi włamywać się do cudzego pokoju.

– Tym razem nie dam się na to namówić! – zaprotestowała. – Nie lubię grzebać w cudzych rzeczach.

– To nie będzie konieczne – odparł Leo i już był przy drzwiach.

Une przywiązała Egona i razem z Cecilią ruszyła za Leo przez recepcję, schodami na piętro i dalej do pokoju na wieży.

Chłopak opadł ciężko na krzesło przed komputerem, wpisał adres internetowy i niemal natychmiast otworzyła się strona o nazwie „VG: Archiwum”.

– Są tu przechowywane skany wszystkich gazet, począwszy od 1945 roku – wyjaśnił. – Ale po pierwsze to kosztuje, a po drugie trzeba się zarejestrować.

Cecilia usiadła obok niego i patrzyła, jak Leo wpisuje imię i nazwisko, adres mailowy i numer karty kredytowej.

– Czyj numer podajesz?

– Mojego ojca – wyjaśnił, nie przerywając rejestracji. – Spoko, zgodziłby się.

Cecilia skinęła głową. Ojciec Leo przyjeżdżał do Norwegii tylko raz w roku, ale zawsze kupował mu drogie prezenty. Dlatego nie zdziwiło jej to, że pozwalał synowi używać swojej karty kredytowej do zakupów w Internecie.

– Abonament miesięczny kosztuje 99 koron – wyjaśnił Leo, który właśnie zakończył rejestrację. Otworzył kalendarz i kliknął na ubiegły rok, żeby znaleźć interesujące ich wydanie. Chwilę później ekran wypełniła pierwsza strona „VG” z 28 lipca. Cecilia od razu ją poznała. To właśnie tę gazetę czytał wczoraj do śniadania Frank Kobolt. „Możemy liczyć na więcej słońca”, głosił nagłówek nad zdjęciem kobiety w bikini, stojącej na zalanej słońcem plaży na tle błękitnego nieba.

Leo dotknął palcem innego nagłówka, nieco niżej na stronie: „Góra złota okradziona”. Pod napisem znajdowało się zdjęcie radiowozu zaparkowanego przed sklepem jubilerskim.

„Łupem złodziei, którzy dokonali spektakularnego włamania do jednego z największych w Norwegii sklepów jubilerskich, padły przedmioty warte kilkadziesiąt milionów koron”.

Wszyscy troje spojrzeli na siebie. Une zagwizdała przeciągle.

– To nie może być przypadek – stwierdziła. – Jakiś facet siedzi w jadalni i czyta gazetę sprzed roku, w której piszą o włamaniu do jubilera – i to dokładnie w tym samym dniu, w którym „VG” donosi, że jeden ze złodziei uciekł z więzienia!

Cecilia poczuła, że zaczyna jej lekko drżeć nerw w skroni. W pensjonacie działo się coś podejrzanego, chociaż nie miała pojęcia co. To przypominało krzyżówkę, której nie można rozwiązać. Niektóre słowa pasowały do kratek, ale wiele pól pozostawało pustych, ponieważ hasła były kompletnie niezrozumiałe.

12 ZNALEŹNIE

Leo otworzył gazetę na stronie dziesiątej.

– „Ze skarbca sklepu jubilerskiego «Góra Złota» zostały skradzione przedmioty na łączną kwotę ponad trzydziestu milionów koron. – Sprawcy sforsowali pięcioro drzwi i zrabowali ogromne ilości złotej biżuterii i diamentów – informuje komisarz Leif Malm z Komendy Stołecznej Policji.

Leif Malm jest szefem wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej. Ze względu na zakres sprawy oraz fakt, że sprawcy działali profesjonalnie, dochodzenie powierzono właśnie ekipie śledczej komisarza Malma.

– Włamując się do skarbca przez piwnicę, obeszlą system alarmowy, zainstalowany na wyższych piętrach. Wszystko wskazuje na to, że zlikwidowali centralę monitoringu, która obejmuje zasięgiem cały lokal – wyjaśnia Leif Malm.

Policja nie wpadła dotąd na trop złodziei, ale zaangażowano znaczne siły i środki, by jak najszybciej wyjaśnić sprawę”.

– Jednego ze sprawców już ujęto – zauważyła Une.

Leo kliknął na kolejny dzień, ale nie przyniósł on nic nowego.

– „Złodzieje wycięli dziurę w bocznej ścianie skarbca, na tyle dużą, by mógł przedostać się przez nią dorosły człowiek, a następnie opróżnili skarbiec, w którym znajdowały się duże ilości złota i diamentów.

Moment kradzieży został najprawdopodobniej zarejestrowany przez kamery monitoringu. Problem polega na tym, że złodzieje zabrali ze sobą skrzynkę z nagraniem.

Policja podejrzewa, że cel nie był przypadkowy. Wartość skradzionych przedmiotów została oceniona na ponad 30 milionów koron.

– Rzadko się zdarza, by w sklepie jubilerskim znajdowało się aż tyle kosztowności. Okradziony

skarbiec był głównym magazynem «Góry Złota», który zaopatruje w towar cztery sklepy na terenie całego kraju – wyjaśnia komisarz Malm.

– Obawiamy się, że sprawcy mogli przedostać się za granicę. Jeśli nasze przypuszczenia okażą się słuszne, trudno będzie odzyskać skradzione precjoza. Złoto jest łatwo zbywalne. Dotyczy to zarówno złotej biżuterii, jak i przetopionego kruszcu – twierdzi szef ekipy dochodzeniowej.

Do włamania do sklepu jubilerskiego przy Storgata 28 doszło w nocy z poniedziałku na wtorek. Malm prosi wszystkich, którzy coś widzieli lub słyszeli, o kontakt z oficerem dyżurnym Komendy Stołecznej Policji.

– Sądzimy, że złodzieje użyli wiertarki udarowej do wywiercenia otworu w betonowym skarbcu. Wiele osób musiało to słyszeć. Każda informacja na ten temat jest dla nas niezwykle cenna – przekonuje komisarz Malm.

Właściciel sklepu, Knut Fjell, jest zrozpaczony.

– Gdy zobaczyliśmy dziurę w ścianie, nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Zupełnie jakby za włamaniem stali Bracia Be z Kaczora Donalda.

Razem ze swoją żoną Svanhild prowadzi sklep w centrum Oslo.

– Wszystkie wyroby jubilerskie, które skradziono, mają nasz znak wytwórcy, ale jeśli złoto zostanie przetopione, znaki zostaną usunięte. Ceny złota są ostatnio wyjątkowo korzystne”.

– Nie musieli tego pisać – skomentował Leo.

– Czego?

– Że właściciel jest zrozpaczony – wyjaśnił i wskazał zdjęcie mężczyzny, do którego należał sklep jubilerski. Knut Fjell był blady, miał podkrążone, przekrwione oczy w czerwonych obwódkach i poważne, niemal błagalne spojrzenie.

– Nie piszą nic o zegarze – zauważyła Cecilia.

Leo wpisał do wyszukiwarki hasło „zegar zakonu maltańskiego” i natychmiast pojawiło się kilkadziesiąt trafień. Kliknął na pierwszy wynik: „Skradziono bezcenne dzieło sztuki”.

– „Wśród przedmiotów, które padły łupem złodziei, był tak zwany zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich, wart pięć milionów koron. Wielki Mistrz Zakonu Kawalerów Maltańskich Jean de la Vallette w roku 1666 przekazał ów zegar w darze królowi Hiszpanii Karolowi II Habsburgowi.

Zegar, którego twórcą był znany francuski zegarmistrz Balthazar Martinot, jest jednym z najbardziej zaawansowanych ówczesnych mechanizmów i jednym z pierwszych na świecie podwójnych zegarów, które pokazywały nie tylko pełne godziny, lecz także minuty. Skrzynię wykonano z czystego złota i ozdobiono drogimi kamieniami. Zegar miał być eksponatem na wystawie poświęconej europejskim dworom królewskim, przygotowanej przez Muzeum Historii Sztuki w Oslo. W nocy z poniedziałku na wtorek, gdy dokonano zuchwałej kradzieży, znajdował się w skarbcu sklepu jubilerskiego «Góra Złota», gdzie czekał na otwarcie wystawy.

Benjamin Marlow z międzynarodowego towarzystwa ubezpieczeniowego Aon określił zegar jako bezcenny i wyznaczył nagrodę w wysokości 100 000 koron dla osoby, która przyczyni się do odnalezienia zegara Zakonu Kawalerów Maltańskich”.

Cecilia, Une i Leo spojrzeli na siebie.

– Sto tysięcy koron – powiedziała cicho Une. – Dla osoby, która przyczyni się do odnalezienia zegara – powtórzyła.

– Jeszcze go nie odnaleźli – przypomniał Leo i otworzył gazetę, w której znajdowała się informacja o aresztowaniu Leviego Hildonena.

– „Zatrzymano mężczyznę podejrzanego o udział we włamaniu do sklepu jubilerskiego «Góra Złota», do którego doszło trzy tygodnie temu w Oslo.

Policja informuje, że mężczyznę ujęto dzięki zakrojonemu na szeroką skalę śledztwu. Jak ustaliło «VG», zaledwie niewielka część skradzionych przedmiotów trafiła do właścicieli. Słynnego zegara Zakonu Kawalerów Maltańskich, należącego do hiszpańskiego dworu królewskiego, wciąż nie udało się odzyskać.

– W czwartek w Oslo zatrzymano 37-letniego mężczyznę – potwierdził w rozmowie z dziennikarzem «VG» komisarz Leif Malm. Aresztowany mężczyzna jest dobrze znany stołecznej policji, ale z uwagi na dobro śledztwa policja nie udziela żadnych informacji na jego temat. Sprawa jest rozwojowa i policja nie wyklucza kolejnych zatrzymań.

– Na podstawie oględzin miejsca zdarzenia udało nam się ustalić, że sprawców było co najmniej dwóch – stwierdził komisarz Malm.

Właściciel «Góry Złota» nie kryje zadowolenia.

– Policja wykonała kawał dobrej roboty – chwali śledczych Knut Fjell. – Wiele ze skradzionych kosztowności to bezcenne dzieła sztuki. Mam tu na myśli przede wszystkim unikatowy zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich. Przełom w śledztwie, jakim jest niewątpliwie zatrzymanie jednego ze sprawców, pozwala mieć nadzieję, że przynajmniej część precjozów uda się odnaleźć”.

Leo odchylił się na krześle i spojrział w stronę gospodarstwa Wiganderów. Potem zwrócił się do Cecylii z pytaniem:

– Masz mapę?

Odnalazła kartkę i położyła ją na stole. Oczy całej trójki przykuł czerwony znak X. Cecilia domyśliła się, do czego zmierza Leo. Znak X oznaczał miejsce ukrycia zegara Zakonu Kawalerów Maltańskich.

13

PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ

Pierwsze, na co Cecilia zwróciła uwagę, to złoto. Kobieta stojąca przed ladą recepcji miała je wszędzie: w uszach, wokół szyi, na palcach i nadgarstkach.

– Ma pani pokój numer 205 – wyjaśnił ojciec Cecylii i wskazał schody. – Pierwsze piętro.

Złote bransolety zabrzęczały i opadły na dłoń, gdy kobieta wyciągnęła rękę po klucz.

– Nie macie windy? – spytała.

– Przykro mi – Alan W. Gaathe uśmiechnął się i spojrział na Cecilie, która stała obok Une i Leo.

– Pomóc pani wnieść bagaż?

– Tak, proszę.

Leo i Cecilia złapali każdy jedną walizkę, zanim jej ojciec zdążył ich o to poprosić, natomiast Une wyszła przed pensjonat, gdzie czekał Egon.

– Tędy – powiedział Leo, ruszając przodem.

Kobieta w złotej biżuterii podziękowała i poszła za nim.

– Jest pani tutaj pierwszy raz? – spytała Cecilia, gdy znaleźli się na szczycie schodów.

– Owszem.

Słońce wpadało przez otwarte drzwi holu na pierwszym piętrze. Jasna struga światła biegła przez podłogę i po skosie wzdłuż jednej ze ścian. Z plaży dolatywał śmiech urlopowiczów.

– Ma pani szczęście do pogody – zauważyła Cecilia.

– Masz rację – uśmiechnęła się kobieta. – Gdzieś czytałam, że możemy liczyć na więcej słońca.

Leo omal nie upuścił walizki. Przełożył ją do drugiej ręki i odwrócił się. Cecilia skinęła porozumiewawczo głową. Ona też czytała, że ma być ciepło i słonecznie. W gazecie sprzed niemal roku.

Pokój numer 205 znajdował się w lewym skrzydle budynku. Cecilia i Leo postawili bagaż na

korytarzu, a kobieta w złotej biżuterii otworzyła drzwi do pokoju.

– Życzmy udanego pobytu – powiedziała Cecilia i już chciała się odwrócić i odejść, gdy kobieta zawołała:

– Poczekajcie!

Pogrzebała w torebce, znalazła portmonetkę i wyjęła z niej dwie monety pięciokoronowe.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała, wręczając im pieniądze. Weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Leo podrzucił monetę i złapał ją w locie.

– Miło z jej strony – skomentował, chowając pięciokoronówkę do kieszeni. – Założę się, że miała na sobie kilka tysięcy koron w złocie.

Cecilia nie odpowiedziała.

– On tam mieszka – szepnęła, wskazując drzwi po drugiej stronie korytarza.

– Kto?

– Frank Kobolt. Ten, który czytał starą gazetę.

Leo zrobił krok w kierunku drzwi do pokoju 204. Na klamce wisiała zawieszka z napisem „Proszę nie przeszkadzać”. Cecilia spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta. Niektórzy goście prosili, aby im nie przeszkadzano, gdy późno kładli się spać i nie chcieli być budzeni przez osoby sprzątające pokoje. Ale Frank Kobolt był już przecież na śniadaniu.

Właśnie mieli odejść, gdy nagle usłyszeli dzwonek telefonu komórkowego.

Leo przyłożył ucho do drzwi. Cecilia zawahała się, ale zrobiła to samo.

Mężczyzna odebrał telefon.

– Oczywiście, że spałem.

Był wyraźnie zirytowany, jak ojciec Cecylii, gdy zdarzyło mu się zdrzemnąć po południu na kanapie i ktoś zakłócił jego sen. Po chwili mężczyzna uspokoił się i jego głos złagodniał.

– Dziś w nocy... – powiedział. Reszty zdania nie usłyszeli. Prawdopodobnie Frank Kobolt przemieszczał się z telefonem w dłoni i teraz znajdował się po drugiej stronie pokoju. Wkrótce jednak znowu usłyszeli jego głos. – Gdzie jesteś? – spytał, po czym nastąpiła krótka pauza. – Już? – zdziwił się. Potem znów zapadła cisza.

– Jasne. Jest dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy – odpowiedział mężczyzna za drzwiami, gdy jego rozmówca zamilkł.

...

– Jestem pewny na sto procent.

...

– Musimy się spotkać.

...

– Przy latarni morskiej? Okej. Nikt nas tam nie zobaczy. Daj mi godzinę. Spotkajmy się

o pierwszej.

Mężczyzna zakończył rozmowę i zaczął grzebać przy czymś tuż za drzwiami.

Cecilia i Leo wycofali się. Pokój Kobolta był ostatni w lewym skrzydle budynku. Najkrótsza droga do wyjścia prowadziła schodami przeciwpożarowymi na końcu korytarza. Leo otworzył drzwi, przez które bezszelestnie wydostali się na klatkę schodową. Gdy byli w połowie drogi na dół, Cecilia zatrzymała się raptownie. Coś nie dawało jej spokoju. Jakaś myśl, której nie potrafiła wyrazić słowami. Czula tylko, że nie ma ona związku z tym, co przed chwilą usłyszeli.

Leo zszedł ze schodów i odwrócił się w jej stronę.

– Z tym facetem jest coś nie tak – wyszeptał.

Cecilia przyjrzała się stopniom i nagle zrozumiała, na co podświadomość próbowała zwrócić jej uwagę. Schody były brudne od trawy. Od krótkich, świeżo skoszonych źdźbeł trawy. Im niżej, tym było ich więcej.

Ślady ciągnęły się do drzwi prowadzących do tylnej części pensjonatu. Wskazała je, nie mówiąc ani słowa. Leo spojrział na nią pytającym wzrokiem.

– Tata kosił wczoraj trawnik – wyjaśniła. – Ktoś szedł tymi schodami i wniósł na podszwach źdźbła trawy.

Zawróciła. Leo ruszył za nią. Ostrożnie otworzyła drzwi i zajrzała na korytarz. Zielony ślad prowadził do pokoju numer 204.

– Teraz świeci słońce i ziemia wokół hotelu jest sucha – mówiła dalej, zamykając cicho drzwi. – Trawa nie przyczepia się do butów, kiedy podłoże jest suche, ale sześć godzin temu na ziemi leżała poranna rosa. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Że facet wychodził w nocy z pensjonatu – skwitował Leo.

Skinęła głową.

– I za godzinę znowu wyjdzie – dodał Leo, spoglądając na zegarek.

14

SPOTKANIE

Wybiegli tylnymi schodami i okrążyli budynek. Przed wejściem do pensjonatu czekali na nich Une z Egonem.

– Mężczyzna z 204 jest jakiś dziwny – rzuciła Cecilia. – Frank Kobolt. Facet od starych gazet.

Une przyciągnęła psa i wysłuchała relacji przyjaciół.

– O pierwszej ma się z kimś spotkać przy latarni morskiej – zakończył Leo. – Szykuje się jakaś poufna rozmowa.

– Może z facetem, który właśnie podszedł do lady? – zastanawiała się na głos Une i skinęła głową w stronę recepcji. – Z tym okropnym gościem z tłustymi włosami.

Cecilia odwróciła się. Światło słoneczne było zbyt ostre, by mogła zajrzeć do środka przez otwarte drzwi, więc podeszła do recepcji. Une miała rację. Tłuste włosy nowego gościa były zaczesane gładko do tyłu. To w połączeniu z małymi oczkami, osadzonymi głęboko w nalanej twarzy, nadawało mu odrażający wygląd.

– Miałś zdobyć listę gości – przypomniała jej Une, gdy Cecilia wyszła na zewnątrz.

– Najpierw musimy dostać się do latarni – zarządził Leo. – Trzeba się dowiedzieć, z kim umówił się Kobolt. I musimy dotrzeć tam przed nim, żeby znaleźć miejsce, z którego będziemy mogli obserwować spotkanie.

– Możemy schować się w latarni – zaproponowała Une.

– Przecież jest zamknięta.

– Mój tata ma klucz – odpowiedziała z uśmiechem.

Leo spojrzął na nią z niedowierzaniem.

– Poważnie?

Cecilia nie kryła rozbawienia. Leo mieszkał nad Zatoką Okrętów zaledwie od miesiąca i nie

wiedział jeszcze o wielu sprawach dotyczących jej mieszkańców.

– Poważnie. To on sprawuje nadzór nad latarnią. A ja wiem, gdzie trzyma klucz.

– To leć po niego – poprosił Leo i spojrzął na zegarek. Było piętnaście po dwunastej. – Tylko się pospiesz!

Une wsiała na jeden z rowerów przeznaczonych dla gości hotelowych, zostawiając Egon pod opieką Cecilii. Dziesięć minut później była z powrotem i już z daleka machała dużym kluczem, zawieszonym na czerwonym sznurku.

Leo i Cecilia wsiedli na rowery i razem z Une ruszyli co tchu w kierunku Ålodden. Egon biegł za nimi zwirową drogą w tumanach kurzu.

W pobliżu latarni morskiej wiatr był o wiele silniejszy. Przed stromymi ścianami skalnymi na falach unosiło się stado mew siwych, które krzyczały i śmiały się przeraźliwie. Ze szczytu urwiska rozciągał się widok na całą zatokę, łączącą się z błyszczącymi wodami cieśniny.

– Szybko! – ponaglił je Leo, stając przed ciężkimi dębowymi drzwiami latarni.

Gdy Une otwierała drzwi, Cecilia odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w górę na platformę i światło nawigacyjne. Latarnia była zbudowana z kamienia i pomalowana na biało. Składała się z trzech pięter, między dwoma najwyższymi biegł gruby czerwony pas.

Wstawili rowery do środka i zamknęli za sobą drzwi. Leo pierwszy pobiegł na górę po chwiejących się, krętych schodach. Były przeraźliwie wąskie i gdy Cecilia wspięła się na ostatni stopień, serce biło jej jak oszalałe.

Na samym środku pomieszczenia znajdowało się światło nawigacyjne z dużym szklanym reflektorem. Zajmowało dużą powierzchnię, ale zmieścił się tam również niewielki stół, krzesło i lornetka na statywie. Wokół pokoju ciągnęły się okna z grubego szkła, przez które latarnik mógł obserwować morze ze wszystkich stron, a na zewnątrz biegła mała wąska weranda.

– Co za widok! – zagwizdał Leo. – Cała zatoka jak na dłoni.

Cecilia zbliżyła twarz do szyby i spojrzała w głąb Zatoki Okrętów. Znajdowali się tak wysoko, że ogarnęło ją lekkie przerażenie. Widziała pensjonat, gospodarstwo Wiganderów, dom Lassonów i porośnięte lasami grzbiety wzgórz, a z drugiej strony spokojne niebieskie morze, ciągnące się aż po mglisty horyzont. Blisko brzegu pływało wiele małych łodzi, a w oddali przesuwały się większe jednostki.

Leo stanął przed lornetką umieszczoną na statywie.

– Ale ma zoom! – zaśmiał się. – Gdybym się postarał, przeczytałbym, o czym piszą na pierwszych stronach gazet, które przeglądają plażowicze.

– Widzisz gdzieś Kobolta? – spytała Cecilia.

Leo obrócił lornetkę.

– Nie... – odparł i ustąpił miejsca Cecilii.

Skierowała obiektyw na nabrzeże, by przyjrzeć się ludziom odpoczywającym nad zatoką. Zatrzymała wzrok na Domu na Plaży. Christian Lasson w poplamionym fartuchu malarskim chodził tam i z powrotem po kamiennych płytach przed wejściem do domu. Pięć kroków, obrót, pięć kroków.

– Powinniśmy porozmawiać z Lassonem – powiedziała. – Znał Hildonena. Bawili się razem, gdy byli dziećmi.

Leo podchwycił pomysł.

– Może zna dawne kryjówki Leviego.

Cecilia obróciła lornetkę zgodnie ze wskazówkami zegara. Prześliznęła się wzrokiem po domu Starego Tima, Piaszczystej Zatoce, Wyspie Pasterzy i zatrzymała się na dużej łodzi zakotwiczonej w pobliżu Kamiennej Wysepki. Na pokładzie leżało dwoje ludzi, którzy opalali się nago. Szybko przesunęła lornetkę dalej w kierunku paska lądu leżącego na zachód od Ålodden, gdzie znajdowały się bunkry wybudowane przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej, które miały bronić ich przed atakami od strony morza.

Bunkry wybudowano po obu stronach Zatoki Okrętów, wysoko na zboczach góry, miały otwory na działa przeciwlotnicze, stanowiska obserwacyjne i miejsca na broń maszynową. Stary Tim opowiadał kiedyś, że część podziemna była o wiele większa. Znajdowały się tam magazyny z amunicją, stanowiska dowodzenia, kuchnie, magazyny, węzeł łączności, ambulatoria, biura i miejsca noclegowe – wszystko to mieściło się pod ziemią.

Po tej stronie zatoki, w pobliżu Ålodden, dawny teren wojskowy był nadal odgradzony. Zardzewiała siatka zakończona drutem kolczastym ciągnęła się w dół aż do morza. Wewnątrz wznosiły się szare betonowe kolosy, ponure pamiątki z czasów, gdy stacjonowały tu setki niemieckich żołnierzy. Zeszłego lata Une i Cecilia przedostały się przez dziurę w ogrodzeniu i wyruszyły na wyprawę odkrywczą po ponemieckim kompleksie. Większość wejść do bunkrów była zamknięta stalowymi drzwiami, ale nastolatki znalazły kilka miejsc, które można był zbadać w środku.

Cecilia obróciła lornetkę w stronę pensjonatu, gdy nagle zarejestrowała ruch. Na jednym z posterunków wartowniczych przy wejściu do bunkrów stał mężczyzna. Po chwili podszedł do okopu.

– Ktoś jest przy bunkrach – powiedziała w chwili, w której mężczyzna zbliżył się do otworu w betonowym murze, odsłaniając twarz. Rozpoznała go bez trudu. – To ten facet, który rozmawiał z Arthurem – wyjaśniła. – Facet w okularach przeciwsłonecznych.

– Lepiej sprawdź, czy nikt nie nadchodzi. Czekamy na Kobolta, nie na faceta w okularach – przypomniał jej Leo.

Tymczasem mężczyzna pociągnął stalowe drzwi, żeby się przekonać, czy są zamknięte, i poszedł

dalej, znikając jej z oczu. Cecilia wpatrywała się w drzwi, które próbował otworzyć mężczyzna w okularach. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Jakby doznała chwilowego ośnienia. Jakby zbliżała się do rozwiązania zagadki. Wrażenie to minęło równie niespodziewanie, jak się pojawiło. Skierowała lornetkę na pensjonat. Mężczyzna z tłustymi włosami stanął przed wejściem, rozejrzął się na boki i podszedł do klatki z papugą.

– Idzie! – zawołała Une, wskazując plac przed latarnią morską.

Cecilia opuściła lornetkę i ukucnęła. Frank Kobolt siedł w ich stronę. Miał na sobie to samo ubranie, co rano na śniadaniu: czarny golf, czarne spodnie i kurtkę.

Okrążył latarnię i zbliżył się do krawędzi urwiska. Cecilia, Une i Leo przesuwali się na czworakach, nie spuszczać go z oczu. Egon zaczął piszczeć, jakby nie spodobała mu się ta zabawa, ale Une szybko go uspokoiła.

Położyli się na brzuchu i obserwowali Kobolta. Wiatr rozwiewał jego gęste włosy. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wyglądało na to, że rozkoszuje się chwilą.

– Ciekawe, z kim ma się spotkać – powiedział Leo i zmienił pozycję, by móc widzieć drogę prowadzącą do latarni.

Mężczyzna zrobił kilka kroków, przechylił się nad krawędzią i spojrzął w dół. Potem odwrócił się i podszedł do ściany latarni, znikając im z oczu.

– Co się z nim stało? – spytała Une, wyciągając szyję.

Zanim otrzymała odpowiedź, Kobolt przesunął się do przodu i stanął dokładnie pod nimi. Wyjął z kieszeni jakieś kartki, przejrzał je i włożył z powrotem.

Leo zrobił mu zdjęcie telefonem komórkowym.

– Szkoda, że nie mam lustrzanki – westchnął. Jego aparat wpadł do morza pewnej burzowej letniej nocy, gdy tropili gang przemytników narkotyków.

Nagle obok Franka Kobolta pojawił się inny mężczyzna. Wyrósł jakby spod ziemi. Był ubrany w niebieski dres, buty do biegania i czapkę z daszkiem. Żadne z nich nie zauważyło, z której strony nadszedł ani kim był.

Mężczyźni stali tuż pod nimi. Frank Kobolt żywo gestykulował, jakby usiłował coś wytłumaczyć. Ten drugi tylko słuchał. Po chwili obaj podeszli do krawędzi urwiska. Kobolt pierwszy, ten w dresie za nim, lekko się ociągając. Stali zwróceni plecami do latarni, zaledwie pół metra od przepaści. Cecilia wzdygnęła się.

Nagle obaj się odwrócili. Mężczyzna w niebieskim dresie odchylił głowę do tyłu i spojrzął na szczyt latarni. Cecilia, Une i Leo skulili się, ale zdążyli rozpoznać tajemniczą osobę. To nie był mężczyzna, lecz kobieta. Właścicielka złotej biżuterii. Ta, której pomogli wnieść bagaż.

15

DŁUGA PODRÓŻ DNIA W STRONĘ NOCY

Spotkanie Franka Kobolta z kobietą od złotej biżuterii skończyło się już po pięciu minutach. Ona wróciła pierwsza. Leo zrobił jej zdjęcie iPhone'em. Teraz nie miała na sobie żadnych ozdób. W dresie wyglądała zupełnie inaczej.

Kobolt odczekał prawie dziesięć minut, zanim ruszył tą samą drogą. Cecilia obserwowała go przez lornetkę aż do samego pensjonatu.

– Dlaczego nie mogli spotkać się w hotelu? – dziwiła się. – Przecież mają pokoje vis-à-vis?

– Nie wiadomo, czy wiedzieli, że mieszkają tak blisko siebie – skwitował Leo. – Pewne jest natomiast to, że nie chcieli, by widziano ich razem.

Przejrzał zdjęcia, które zrobił telefonem.

– Potrzebuję nowego aparatu fotograficznego – westchnął z irytacją i schował telefon z powrotem do kieszeni.

– Co robimy? – spytała Une.

– Musimy mieć oczy szeroko otwarte. Coś się tutaj dzieje. Coś, co może mieć związek z Levim Hildonenem.

– Myślisz, że oni go znają?

Wzruszył ramionami i podszedł do spiralnych schodów.

– Nie wiem – odparł. – Czas pokaże.

* * *

To był długi dzień. Długi i nudny. Nic się nie działo.

Wprowadzili w życie operację monitorowania, jak nazwał ją Leo. Usiadł przy jednym ze stolików

na tarasie przed pensjonatem, żeby obserwować wchodzących i wychodzących z budynku. Cecilia i Une zajęły posterunek w pokoju na wieży. Miały pilnować tylnego wyjścia i patrzeć, czy nikt nie kręci się przy gospodarstwie Wiganderów.

O dziesiątej wieczorem zebrali się w pokoju Cecylii, żeby omówić wyniki obserwacji. Tylko Leo miał coś do zraportowania.

– Frank Kobolt wyszedł o godzinie 16:43 – odczytał z notesu. – Wrócił o 17:58, niosąc reklamówkę z „Kiwi”.

– Był w mieście na zakupach.

Leo mówił dalej:

– O godzinie 18:23 babka od biżuterii zeszła na dół. Zjadła obiadokolację i o 19:45 udała się do swojego pokoju.

– To wszystko?

– Wszystko, ale poszperałem trochę w Internecie. Kobolt to dość nietypowe nazwisko. W Niemczech mieszka architekt, który się tak nazywa. Znalazłem również pisarza, Franka Kobolta, który zmarł jakieś sto lat temu. Więcej wyników wyszukiwania nie było.

– Ale to wcale nie musi oznaczać, że nazwisko jest fałszywe.

– Mówię tylko, co ustaliłem.

– Widziałeś faceta w okularach przeciwsłonecznych? – spytała Cecilia.

– Nie, bo co?

– Trochę to dziwne, że kręcił się dzisiaj w pobliżu bunkrów.

– Wiele osób tam zagląda.

– Musisz zdobyć listę gości – powiedziała Une, zwracając się do Cecylii. – Wciąż nie wiemy, jak nazywa się babka od biżuterii.

Leo skinął głową.

– Ale w pensjonacie jest mnóstwo gości i mama albo pan Alan przez cały dzień obsługują recepcję.

– Zrobię to jutro przed śniadaniem – obiecała Cecilia.

– W nocy też prowadzimy obserwację? – spytała Une.

– Jeśli wszyscy troje przenocujemy na wieży, możemy trzymać wartę na zmianę.

Przyniesli na górę dodatkowy materac i zrobili tak, jak zaproponował Leo. Żadne z nich nie było specjalnie zmęczone, ale o północy Une i Leo wsunęli się pod kołdry, a Cecilia objęła nocną straż. Niebo pociemniało i pojawiły się pierwsze, nieśmiało migocące gwiazdy. W gospodarstwie Wiganderów nie było prądu i cała posiadłość tonęła w mroku. Zaledwie kilka dni wcześniej była pełnia. Dzięki temu Cecilia widziała co nieco, ale światło księżyca sprawiało, że wyobraźnia płatała jej figle. Kołyszące się na wietrze drzewa rzucały upiorne cienie.

Lampy zewnętrzne oświetlające tylną ścianę pensjonatu znacznie ułatwiały prowadzenie obserwacji. Na front budynku padał snop światła latarni morskiej. Penetrował ląd, przeszliżgiwał się po wodzie i znikał, żeby po chwili znów się pojawić.

Cecilia zmarzła, chociaż nie było zimno. Poszła po kołdrę, owinęła się nią i usiadła na krześle. Wpatrywała się w noc, chociaż sama do końca nie wiedziała, czego wypatruje. Nagle zobaczyła spadającą gwiazdę, która zostawiła po sobie cienki mlecznobiały ogon.

Czytała kiedyś książkę o mapie nieba. Doszła potem do wniosku, że obserwowanie gwiazd jest jak cofanie się w czasie. Spadająca gwiazda potrzebowała wielu lat, by ukazać się jej oczom. Jeśli Cecilia się nie myliła, wiele gwiazd świecących na niebie było już martwych, a mimo to ludzie wciąż je widzieli. Światło docierało na Ziemię z opóźnieniem. Na przykład promienie świetlne wędrujące z Syriusza, najjaśniejszej i najbardziej znanej gwiazdy nocnego nieba, potrzebują dziewięciu lat na dotarcie do naszego oka. Skoro światło porusza się z prędkością 300 000 kilometrów na sekundę, sensowne wydaje się stwierdzenie, że wszechświat jest bezkresny, pomyślała. Że nigdy się nie skończy.

Przypomniał jej się Aleksandersen i jego pytanie. Czym jest czas? Na czas składa się przeszłość, pomyślała, to znaczy to, co było. I przyszłość, czyli to, co się wydarzy, a czego jeszcze nie ma. Między przeszłością a przyszłością jest teraźniejszość. To, co jest teraz. Ale to, co jest teraz, właściwie już nie istnieje. Zniknęło w przeszłości równie szybko, jak wyłoniło się z przyszłości. Stary Tim miał rację. Czas oznacza ruch.

Lubiła rozmyślać o różnych rzeczach. Dzięki temu lepiej je rozumiała, choć czasem bywało na odwrót. Im dłużej się nad czymś zastanawiała, tym trudniej było jej to pojąć. Właśnie tak było z czasem. Za dwie godziny miała zbudzić Leo, żeby przejął wartę. Za godzinę minie połowa jej dyżuru i tę godzinę mogła również podzielić na pół, a potem jeszcze raz. Wiedziała, że gdy zostanie już tylko dziesięć minut, będzie w połowie po pięciu minutach. Nawet jeśli zostanie tylko jedna sekunda, Cecilia będzie musiała pokonać połowę tego czasu, zanim będzie mogła pójść dalej. A ponieważ w każdym momencie musi być w połowie, zanim czas dobiegnie końca, moment ten nigdy nie nadejdzie. Mogła dzielić czas w nieskończoność, a i tak zawsze zostawał ułamek sekundy.

Nagle coś wyrwało ją z zamyślenia. Ktoś szedł drogą, oddalając się od pensjonatu.

Złapała lornetkę i ustawiła ostrość. Zwróciła uwagę na lekko chwiejny, nierytmiczny chód obserwowanej osoby. Gdy światło latarni morskiej padło na drogę, w tajemniczym człowieku rozpoznała Starego Tima. Zatrzymał się na zakręcie przy plaży i stał oparty o łaskę, tyłem do morza i z twarzą zwróconą w stronę gospodarstwa Wiganderów.

Długo tak stał, zanim w końcu odwrócił się i ruszył w kierunku swojego domu.

Cecilia zastanawiała się, od jak dawna ludzie nazywali go Starym Timem i ile tak naprawdę miał lat. Wiedziała, że dawno temu był marynarzem i że wiele w życiu przeszedł. Czasem opowiadał im

historie z czasów, gdy pływał po morzu, ale Cecilia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że pewne sprawy przed nimi ukrywa. Poza tym wiedział o wszystkim, co się dzieje w okolicy, na przykład o tym, że byli w gospodarstwie Wiganderów, ale nie dzielił się z nikim swoimi spostrzeżeniami. Matka musiała czuć to samo, bo często powtarzała, że Stary Tim to bardzo tajemniczy człowiek.

Cecilia obserwowała go przez lornetkę, dopóki nie zniknął za drzwiami swojego domu. Potem odchyliła się na krzesło i poczuła, że ogarnia ją zmęczenie.

Letnie noce są krótkie. Gdy naszedł czas, by obudzić Leo, zaczynało świtać.

– Działo się coś ciekawego? – spytał, ziewając.

Potrząsnęła głową.

– Zdaje się, że wszyscy śpią, oprócz Lassona – odpowiedziała, wskazując głową Dom na Plaży.

W oknach na parterze paliło się światło. Za białymi firankami poruszał się cień malarza, który chodził tam i z powrotem przed sztalugą.

– Musimy z nim porozmawiać – stwierdził Leo. – O Levim Hildonenie.

Cecilia odchrząknęła coś w odpowiedzi, położyła się na materacu i przykryła kołdrą.

Resztę nocy zamierzała wypełnić snem.

16

L.

Cecilia wstała pół godziny wcześniej, niż potrzebowała do tego, by przygotować śniadanie dla gości. Une przejęła wartę po Leo. Powieki wciąż jej się kleiły po nieprzespanej nocy, ale uśmiechała się, wyraźnie zadowolona, że ma to już za sobą.

– Coś się działo? – spytała Cecilia.

Une potrząsnęła głową i zwinęła się pod kołdrą.

Cecilia zeszała na dół i zakradła się po cichu do pustej recepcji. Szybko zalogowała się do systemu. Spała tylko cztery godziny i teraz ziewała tak, że aż trzeszczała jej szczęka.

Najpierw przygotowała listę osób, które mieszkały w pokoju 118 w ciągu ostatniego roku. Wykaz zawierał dziewięćdziesiąt siedem nazwisk, łącznie z jej własnym, które znajdowało się na szczycie listy.

Czekając na gotowy wydruk, sprawdziła pokój numer 205, zamieszkiwany przez właścicielkę złotej biżuterii. Svanhild Fjell. Nazwisko brzmiało znajomo, chociaż Cecilia nie mogła go z niczym skojarzyć.

Nie wiedziała, w którym pokoju mieszka mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych ani ten z tłustymi włosami, dlatego wydrukowała również aktualną listę gości. Już miała się wylogować, gdy nagle przypomniała sobie o pamiętniku matki. Przygryzła wargę i zamyśliła się. Potem wypełniła kilka okien wyszukiwarki i już po chwili na ekranie pojawiła się lista gości, którzy mieszkali w pensjonacie zeszłego lata i których imię lub nazwisko rozpoczynało się na literę L.

* * *

Tego dnia Frank Kobolt nie zszedł na śniadanie pierwszy. Zjawił się kilka minut przed dziewiątą

i usiadł przy swoim stałym stoliku. Dziesięć minut później w drzwiach stanęła Svanhild Fjell i wybrała stolik na drugim końcu sali. Również tego dnia nie była obwieszona biżuterią. Miała na sobie tylko prosty naszyjnik i pierścionek na serdecznym palcu prawej ręki, na którym matka Cecilii nosiła obrączkę.

Po śniadaniu Leo, Une i Cecilia zebrali się w pokoju na wieży. Byli zmęczeni i ospali po nocnym czuwaniu.

Cecilia położyła listę gości na podłodze i wszyscy troje usiedli na ziemi.

– Kobieta od biżuterii nazywa się Svanhild Fjell – wyjaśniła.

– Svanhild Fjell? – powtórzył Leo. – Brzmi dziwnie znajomo.

Wstał i odszukał stos wydrukowanych artykułów z „VG” dotyczących kradzieży.

– Jest! – powiedział i odczytał na głos: „Właściciel sklepu, Knut Fjell, jest zrozpaczony. – Gdy zobaczyliśmy dziurę w ścianie, nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Zupełnie jakby za włamaniem stali Bracia Be z Kaczora Donalda. Razem ze swoją żoną Svanhild prowadzi sklep w centrum Oslo”.

Une aż podskoczyła z wrażenia.

– To współwłaścicielka sklepu jubilerskiego! – zawołała. – Oczywiście! Przecież była obwieszona złotem.

– Masz listę gości, którzy mieszkali w pokoju 118? – spytał Leo.

Cecilia skinęła głową i przesunęła w jego stronę plik kartek.

– Wydrukowałam wykaz z ostatnich dwunastu miesięcy. Całkiem sporo tych nazwisk. Poza tym klucz mógł zostać ukryty w biurku jeszcze dawniej.

– Od czegoś musimy zacząć – skwitował Leo i zabrał się do przeglądania listy.

Cecilia zajęła się wykazem gości, których imię lub nazwisko rozpoczynało się na literę L., ale już po chwili Leo jej przerwał.

– A niech mnie! – zawołał i pacnął kartką o podłogę.

Egon uniósł łeb i spojrzał na niego, ale zaraz oparł pysk z powrotem na łapach.

– Levi Wigander! – przeczytał Leo. – Wprowadził się do pokoju 118 dwudziestego siódmego lipca ubiegłego roku i mieszkał tam przez cztery dni.

– Levi Wigander? To musi być nazwisko, pod którym ukrywał się Levi Hildonen. Używał go, ponieważ wychowali go Wiganderowie.

– Spójrzcie na datę – powiedziała Une. – Zjawił się w pensjonacie tego samego dnia, w którym ujawniono włamanie do sklepu jubilerskiego.

– Mapa i klucz! – rzucił Leo. Był tak podekscytowany, że mówił bez ładu i składu. – Rozumiecie? Na pewno zabrał ze sobą łup i ukrył go nad Zatoką Okrętów! Zegar zakonu maltańskiego jest gdzieś tutaj!

– Nie pamiętam, żebym widziała go zeszłego lata – powiedziała Cecilia, przyglądając się zdjęciu zbiegłego więźnia, które Leo powiesił na ścianie. – Dziwne, że nikt go nie rozpoznał.

– Twoi rodzice nie wiedzieli, kim on jest – przypomniał jej Leo. – A Levi robił wszystko, by nie rzucić się w oczy. Na pewno unikał ludzi w obawie, że Stary Tim lub inni mieszkańcy zatoki go zdemaskują.

– W gazetach pisali, że sprawców było dwóch – powiedziała Une i spojrzała na listę gości. – A wygląda na to, że Levi przyjechał tu sam. W każdym razie tego dnia nie zameldował się żaden inny samotny mężczyzna.

– Może rozdzielili się po dokonaniu skoku? – podsunął Leo. – I tylko Levi został aresztowany. – Przejrzał doniesienia prasowe. – Wtedy nie podawali jego nazwiska. Dopiero teraz, gdy uciekł z więzienia i jest poszukiwany, upubliczniono jego dane osobowe.

Ich podekscytowanie udzieliło się Egonowi, który wstał i zaczął stąpać po kartkach rozłożonych na podłodze.

– Posłuchajcie tego – powiedział Leo i przeczytał fragment artykułu: – „Oskarżony 37-latek utrzymuje, że nie ma nic wspólnego z kradzieżą, ale odmawia złożenia wyjaśnień na temat tego, gdzie był tamtej feralnej nocy i co robił w ciągu kolejnych dni...” – Leo pomachał gazetą. – Był tutaj! – zawołał. – Jestem tego pewny.

Egon odwrócił się, podszedł do schodów i wydał z siebie ostre szczeknięcie. Po chwili zatrzeszczała drewniana podłoga. Odwrócili się w stronę drzwi i zobaczyli głowę Alana Gaathe wylaniającą się znad krawędzi schodów.

– Hej! – uśmiechnął się. – A więc tu się chowacie?

Podrapał Egona za uchem. W pensjonacie nie wolno było trzymać psów, ale dopóki Egon siedział w pokoju na wieży i żaden z gości się nie skarżył, ojciec Cecili przymykał na to oko.

– Stało się coś? – spytała Cecilia. Ojciec prawie nigdy tu nie przychodził. Po jego minie widziała, że coś było nie tak.

– Sam nie wiem... – odparł i usiadł na podłodze tuż przy schodach. Czekali na to, co powie.

– Jak wyglądał pokój 118, gdy się z niego wyprowadzałaś?

– Co masz na myśli?

– Wydaje mi się, że ktoś włamał się tam dziś w nocy.

– Włamanie?

– Tak. Drzwi i futryna są uszkodzone – wyjaśnił ojciec. – Wygląda na to, że ktoś użył łomu lub czegoś podobnego, żeby dostać się do środka.

– Które drzwi? – spytała Cecilia. – Główne czy te, które prowadzą do ogrodu?

– Główne.

– I niczego nie zauważyłaś? Przecież twój pokój znajduje się po drugiej stronie korytarza.

Ojciec potrząsnął głową.

– Ukradli coś? – spytał Leo.

– Nie. I to jest właśnie najdziwniejsze, bo tam właściwie nie ma czego ukraść. Pokój jest pusty.

Ty mieszkałaś tam ostatnia – zwrócił się do córki. – Dlatego chciałem z wami porozmawiać.

Podniósł się z podłogi.

– Zobaczą, czy uda mi się to naprawić. Drzwi dają się zamknąć, ale ładnie to nie wygląda.

– Dzwoniłeś na policję?

– Tak. Co prawda niczego nie skradziono, ale mam przyjść do komisariatu i złożyć oficjalne zawiadomienie. Ale najpierw chciałem porozmawiać z wami.

Gdy Alan Gaathe zszedł na dół, nastolatki spojrzeli na siebie.

– To mógł być Levi. Włamał się, żeby odebrać mapę i klucz – stwierdziła Une.

– Nie wiemy przecież, czy należą do niego ani czy to ma cokolwiek wspólnego z zegarem – przypomniała im Cecilia.

– Oczywiście, że ma! – upierał się Leo. – Ale przecież przez całą noc trzymaliśmy wartę i nie widzieliśmy, żeby ktoś wchodził lub wychodził z pensjonatu. A to oznacza, że do pokoju najprawdopodobniej włamał się jeden z gości. – Wziął do ręki listę z nazwiskami osób, które aktualnie były zameldowane w hotelu. – Ktoś z nich.

Cecilia poniosła z podłogi inny wykaz: osób mieszkających w pensjonacie ubiegłego lata, których imiona lub nazwiska zaczynały się na literę L. Jedno imię przykuło jej uwagę. Levi Wigander.

17

DOM NA PLAŻY

Przejrzeli dokładnie listę gości, nazwisko po nazwisku. Wykreślili rodziny z małymi dziećmi i emerytów. W końcu na liście zostały tylko cztery nazwiska osób zajmujących pokoje jednoosobowe. Potencjalnymi włamywaczami byli:

Frank Kobolt, pokój 204

Svanhild Fjell, pokój 205

Morten Krogh, pokój 107

Anders Hansen, pokój 112

– Wiemy już, kim są Svanhild Fjell i Frank Kobolt – skomentował Leo.

– Morten Krogh zameldował się wczoraj – zauważyła Une. – Więc to musi być facet z tłustymi włosami. Przyjechał sam.

– A Anders Hansen to ten w okularach przeciwsłonecznych, który rozmawiał z Arthurem – powiedziała Cecilia. – Ten, którego widziałam przy bunkrach.

– Od tej pory musimy ich mieć na oku. Całą czwórkę – zarządził Leo. – Poza tym gdzieś w okolicy ukrywa się Levi Hildonen. Jestem tego pewny.

– Jest jeszcze coś – odezwała się Cecilia, która postanowiła wyjawić przyjaciółom sekret dotyczący dziennika matki. Wyjęła dziennik z biurka i opowiedziała im o potajemnych spotkaniach z tajemniczym L.

– Myślisz, że spotykała się z Levim Hildonenem?! – zawołała z niedowierzaniem Une. – Dlaczego miałaby to robić?

– Nie wiem, ale z jakiegoś powodu ukrywała to przed tatą i przede mną.

Otworzyła pamiętnik na ostatniej stronie.

– „Muszę się przebrać, zanim spotkam się z L.” – przeczytała na głos. – „Może to już ostatni raz? Mam taką nadzieję”.

– A tamtego dnia w pensjonacie mieszkał tylko jeden mężczyzna, którego imię rozpoczynało się na literę L: Levi Hildonen *vel* Levi Wigander.

– Wygląda na to, że nie miała ochoty się z nim spotkać – stwierdziła Une.

W pokoju na wieży zapadła cisza. Wszyscy troje wiedzieli, że matka Cecیلی wyszła z pensjonatu krótko po napisaniu ostatnich słów i nigdy już nie wróciła.

– Może porozmawiamy z Christianem Lassonem? – zaproponował Leo i podszedł do okna. –

W końcu znał Hildonena z czasów dzieciństwa.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli pójdzie tam tylko jedno z nas – powiedziała ostrożnie Une. – To, które zna go najdłużej. Lasson nie lubi, gdy mu się przeszkadza w pracy.

Une i Leo spojrzeli na Cecilię. Nastolatka skinęła głową.

– Mogę to zrobić – zgodziła się.

Dwie minuty później stała przed domem znanego artysty malarza. Był to marmurowy dom z otynkowanymi na biało ścianami i czerwonymi dachówkami. Bluszcz i kwitnące kapryfolium oplatały ściany domu, wiły się wokół okien, wzmocnionych czarnym kutym żelazem.

Ze środka dolatywała cicha muzyka. Melodia wygrywana na flecie. W drzwiach znajdowało się duże okno z matowego szkła, które zabrzączało delikatnie pod jej dłonią. Ponieważ nikt nie odpowiedział, zapukała ponownie. Nadal nic. Zdobyła się na odwagę i otworzyła ostrożnie drzwi. Gdy przekroczyła próg, poczuła zapach farby.

– Halo? – zawołała.

Głowa Christiana Lassona pojawiła się w drzwiach na końcu korytarza.

– O! Witaj, Cecilio! – powiedział i wytarł ręce w ścierkę. – Zapraszam.

Weszła do pracowni malarza. Do jego atelier. Dzięki dużym oknom z widokiem na morze pokój tonął w promieniach słońca. Na środku stała sztaluga z obrazem, nad którym Lasson właśnie pracował. Obraz przedstawiał roześmianych ludzi siedzących wokół nakrytego stołu w ogrodzie i przypominał Cecیلی letnie przyjęcie zorganizowane w dniu, w którym zaginęła jej matka.

Na końcu atelier można było dostrzec otwarte drzwi prowadzące do pogrążonego w ciemności pokoju. Wzdłuż ścian stały długie i wysokie stoły warsztatowe. Na najdłuższym z nich leżały brudne talerze i szklanki pożyczone z pensjonatu.

– Pomyślałam, że zabiorę brudne naczynia – rzuciła spontanicznie Cecilia.

Lasson spojrział na nią, jakby nie rozumiał, co dziewczyna ma na myśli. Tymczasem Cecilia przeszła się po pomalowanej farbą podłodze i stanęła przed brudnymi talerzami i szklankami.

– Przepraszam – powiedział, przeczesując palcami zmierzwione włosy. – Powinienem być sam je

odnieść.

– Nic się nie stało – odparła i zaczęła zbierać naczynia. Po chwili odwróciła się do niego i spytała niby od niechcienia: – Czy to prawda, że mieszkał pan tutaj w dzieciństwie?

Miała wrażenie, że oczy Lassona nagle pociemniały. Skinął głową.

– Mieszkałem w domu na wzgórzu, ale to było wiele lat temu.

– To znaczy, że znał pan tego mężczyznę, o którym piszą w gazetach? – spytała. – Tego, który uciekł z więzienia?

Z wnętrza ciemnego pokoju dobiegł jakiś dźwięk. Lasson poszedł zamknąć drzwi.

– Rzadko czytam gazety – odparł z wahaniem w głosie. Niedokładnie domknięte drzwi znowu się otworzyły.

– Levi Hildonen – wyjaśniła. – Podobno mieszkał w gospodarstwie Wiganderów.

– Och! – wyrwało się Lassonowi. – Levi? Nie wiedziałem, że siedział w więzieniu, chociaż wcale mnie to nie dziwi.

Cecilia odstawiła stos brudnych talerzy i streściła Lassonowi doniesienia prasowe.

– To znaczy, że pan go znał? – powtórzyła pytanie.

– Jesteśmy w tym samym wieku – potwierdził malarz i usiadł na wyplatanej krześle. – I mieszkaliśmy blisko siebie, gdy byliśmy mali, ale rzadko bawiliśmy się razem.

– Dlaczego?

– Bardzo się różniliśmy. Zabawy, które wymyślał Levi, były dziwne i niebezpieczne. Levi należał do tych, którzy nie mogą usiedzieć na miejscu. Wszędzie ich pełno. Ja najbardziej lubiłem rysować i malować.

Cecilia stała nieruchomo. Nie chciała, żeby cokolwiek rozproszyło Lassona.

– Levi uwielbiał zakradać się za ogrodzenie z drutu kolczastego i penetrować ponemieckie bunkry – mówił dalej. – Większość wejść zamurowano lub zamknięto grubymi stalowymi drzwiami i solidnymi kłódkami, ale Levi i tak znalazł sposób, żeby dostać się do środka. Wchodził od tyłu przez ukryte otwory i tunele. W jednym z bunkrów znalazł nawet starą mapę. – Lasson podszedł do okna i spojrzał w stronę dawnego obiektu wojskowego. – Byłaś tam?

Cecilia otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić słowa. Uczucie, które ją ogarnęło, gdy stała w latarni morskiej, powróciło. Uczucie, że jest o krok od rozwiązania zagadki. Jednak tym razem wszystko było jasne. Wiedziała, do czego służyła mapa i klucz, ukryte w szufladzie.

– Muszę już iść – powiedziała nagle.

Lasson przeniósł wzrok na Cecilie.

– Jesteś bardzo podobna do matki, wiesz?

Nastolatka skinęła głową. Już jej to mówiono.

– Obiecałem twojej matce, że nie zdradzę nikomu naszej tajemnicy, ale czuję, że dłużej nie

wytrzymam. Muszę się z tobą tym podzielić.

Serce Cecylii zaczęło szybciej bić.

– Chodź ze mną – powiedział i podszedł do uchylonych drzwi. – Coś ci pokażę.

18

CZERWONA SUKNIA

Cecilia wahała się. W mroku spowijającym pokój było coś niepokojącego. Nie podobało jej się to, że tajemnicę matki skrywają ciemności.

– Chodź ze mną – powtórzył Lasson. Otworzył drzwi na oścież i znalazł włącznik światła. W pokoju zrobiło się jasno.

Znaleźli się w małym magazynie na farbę, czyste płótna sztalugowe i ukończone obrazy. Cecilia stanęła w środku ciasnego pomieszczenia. Pod jedną ze ścian stała stara zielona kanapa, przykryta z jednej strony kocem. Małe okno wysoko na ścianie wydawało dźwięk, który Cecilia usłyszała podczas rozmowy z Lassonem w jego atelier. Podmuchy wiatru otwierały je i zamykały z trzaskiem.

Mężczyzna podszedł do rzędu obrazów stojących jeden przy drugim i wyjął płótno zasłonięte białym prześcieradłem. Postawił je na kanapie i zdjął materiał.

Cecilii zabrakło tchu. Z wrażenia cofnęła się o krok.

Obraz przedstawiał jej matkę. Stała na piaszczystej plaży, z uśmiechem na ustach i wesołym błyskiem w niebieskich oczach, dokładnie tak jak Cecilia ją zapamiętała.

Zbliżyła się do obrazu, podniosła rękę, żeby go dotknąć, ale zatrzymała się i przeniosła spojrzenie na Lassona. Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Czyż nie jest piękna? – spytał.

Nie odpowiedziała. Powiodła palcami po jasnych kręconych włosach matki, spływających luźno na ramiona. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

– To miał być prezent dla twojego ojca – wyjaśnił Lasson, stając obok nastolatki. – Chciała mu zrobić niespodziankę.

Słowa w pamiętniku matki nagle nabrały zupełnie innego znaczenia: „Razem z L. przez trzy

godziny. Najważniejsze, żeby Alan się nie dowiedział. Jeszcze nie teraz”.

– Musiałem ją namawiać, żeby zgodziła się pozować, ale wydaje mi się, że dobrze się przy tym bawiła.

„L. złożył mi fantastyczną propozycję”.

– Ukończyłem go tamtego wieczoru, gdy zginęła.

– L. – powiedziała. – A więc to pan jest tym tajemniczym L.

Lasson spojrział na nią pytającym wzrokiem.

– Czerwona suknia – mówiła dalej, przesuwając palec wzdłuż białej lamówki. To ta suknia była na zdjęciu w gazecie, to jej skrawek wystawał spod koca, gdy ciało matki leżało na noszach. – To dlatego się przebrała – wyjąkała Cecilia. – Żeby mieć na sobie tę suknię.

– Uważam, że ślicznie w niej wygląda – przytaknął malarz. – Z odkrytymi ramionami i lokami. Tamta druga suknia wciąż tu wisi.

Podszedł do szafy i ją otworzył. Cecilia od razu rozpoznała czerwoną suknię, którą matka miała na sobie, gdy Ebba zrobiła jej zdjęcie.

– Myślę, że pięknie byś w niej wyglądała – powiedział, wyjmując suknię.

Nie odpowiedziała. Podniosła rękę i dotknęła środka obrazu, a dokładniej medalionu wiszącego na łańcuszku na szyi matki. Lassonowi udało się wiernie odwzorować motyw umieszczony na wieżku: anioła i dziecko.

– Miała go na sobie tamtego wieczoru? – spytała i odwróciła się w stronę artysty.

Lasson zamyślił się.

– Zawsze go nosiła – odparł w końcu.

– Nie zawsze. Gdy ją znaleźli, nie miała go na sobie.

Mężczyzna spojrział na nią bez słowa. Potem przeniósł wzrok z powrotem na obraz i spytał:

– Myślisz, że chciałby go dostać?

– Kto?

– Twój ojciec. W końcu zrobiła go dla niego. To miał być prezent z okazji rocznicy ślubu.

Cecilia skinęła głową.

– Na pewno bardzo by się ucieszył. – Nagle przyszła jej do głowy inna myśl. – Mówiła coś, gdy była tu ostatnim razem? O tym, co zamierza? Dokąd się wybiera? Jakie ma plany na resztę wieczoru?

Lasson uśmiechnął się niepewnie.

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy maluję, używam oczu, nie uszu – wyjaśnił. – Nie wsłuchuję się dokładnie w to, co ludzie

do mnie mówią, a w każdym razie nie staram się tego zapamiętać.

– Jak długo tu była?

Zastanowił się.

– Może godzinę. Potrzebowałem jej, żeby dokończyć włosy. Gdy wyszła, zająłem się morzem i skałami przy Ålodden, na których tle stała. Dopiero wiele godzin później zrozumiałem, że stało się coś złego.

– Ale nie powiedział pan nikomu o tym, że była tu w wieczór zaginięcia?

– To była jej tajemnica. Długo miałem nadzieję, że Iselin wróci, i nie chciałem jej psuć niespodzianki.

Cecilia zamyśliła się. U dołu zdjęcia, które Ebba zrobiła jej matce, widniała godzina: 23:49. Kwadrans później matka wyszła z przyjęcia, ale nie zniknęła. Przez godzinę stała w czerwonej sukni wykończony białą lamówką i pozowała do portretu. Dopiero po wyjściu z domu Lassona ślad po niej zginął.

Z zamyślenia wyrwał ją esemes od Leo: „Dlaczego to trwa tak długo???”.

Nagle dotarło do niej, że musi się pospieszyć. Niespodziewanie udało jej się rozwiązać dwie zagadki. Pierwszą dotyczącą dwóch czerwonych sukni i drugą, w tej chwili dużo ważniejszą. Wiedziała, gdzie może być ukryty zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich.

19

246/312-3

– *Sorry* – powiedziała, gdy wróciła do pokoju na wieży. – Zajął mi to trochę więcej czasu, niż przewidywałam.

– Wiedział coś o Hildonienie? – spytał Leo.

Cecilia potrząsnęła głową i podeszła do komody ze zdjęciem matki zrobionym na przyjęciu. Na ścianie wisiały wszystkie wycinki z gazet dotyczące jej zaginięcia.

– Właściwie nie – odparła i wzięła do ręki zdjęcie. – Ale moja mama tam była – mówiła dalej. – To Lasson jest tajemniczym L. w jej dzienniku. Była u niego w domu, zanim zaginęła.

Leo zmarszczył brwi. Cecilia postanowiła opowiedzieć wszystko od początku.

– Wiemy, co robiła na godzinę przez zniknięciem – zakończyła, odkładając fotografię na miejsce.

– Poznaliśmy kolejną godzinę jej życia.

– Kiedy twój ojciec dostanie ten obraz? – spytała Une.

– Nie wiem. Nie uzgodniliśmy tego. Wysłałam od Lassona w pośpiechu.

Położyła na biurku starą mapę z korytarzami i pokojami o dziwnych kształtach.

– Wiem, gdzie to jest – powiedziała i położyła palec na znaku X.

Leo otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Gdzie?

– To jeden z poniemieckich bunkrów – wyjaśniła i spojrzała przez okno w stronę latarni morskiej.

Na zachód od niej znajdowały się bunkry z czasów drugiej wojny.

Leo wyjął jej z rąk mapę.

– Myślę, że masz rację. To by tłumaczyło te długie korytarze i dziwne pomieszczenia.

– Une i ja byliśmy tam kiedyś – powiedziała Cecilia i zabrała Leo mapę. – Prawie wszystkie wejścia są zamurowane albo zamknięte starymi metalowymi drzwiami.

– No i?

– Pamiętam, że drzwi były ponumerowane, w każdym razie wiele z nich. Prawda, Une?

Przyjaciółka pokiwała głową. Nagle Cecilia znieruchomiała, jakby doznała olśnienia.

– To były właśnie takie numery! – mówiła dalej, wskazując kombinację cyfr umieszczonych w prawym rogu mapy: 246/312-3.

– Musimy tylko odnaleźć właściwe drzwi.

Leo spojrział na nią, po czym szybkim krokiem ruszył w stronę schodów.

– Na co czekamy?

Cecilia zabrała mały plecak, do którego włożyła dwie latarki. Była gotowa do wyjścia.

Pojechali na rowerach do miejsca, w którym zakurzona żwirowa droga rozwidła się, i skręcili w prawo w kierunku młyna, a potem w lewo, w stronę latarni morskiej na Åloddén. Do bunkrów prowadziła zarośnięta droga, którą wszyscy nazywali niemiecką ścieżką. Odstawili rowery i dalej poszli na piechotę. Bujne pnącza wiciokrzewu o szerokich eliptycznych liściach wiły się wokół pni drzew. Kilkaset metrów dalej ścieżka kończyła się przed starą bramą z siatki ogrodzeniowej, która zwiśla luźno niczym przechylona łódź. Po obu stronach bramy ciągnęła się metalowa siatka zakończona drutem kolczastym.

Schylił się, przeczołgali przez bramę i wyszli na płaskowyż. Wszędzie dookoła znajdowały się betonowe bunkry. Nad gęstymi zaroślami krążyło stado ptaków. Zawisły w powietrzu, by po chwili opaść w dół, głośno skrzecząc. Poza tym miejsce wyglądało na opustoszałe.

Leo wskoczył do otwartego korytarza, który prowadził w głąb dawnego obiektu wojskowego. Cecilia i Une ruszyły za nim razem z Egonem. Wysokie betonowe ściany miały umożliwić stacjonującym tutaj niemieckim żołnierzom swobodne przemieszczanie się między bunkrami. Słońce tam nie dochodziło. Było chłodno i pachniało stęchlizną. Gnijące liście zamieniły się w brunatną maź.

Korytarz był pełen luźnych kamieni, gałęzi i śmieci, ale można było się w nim poruszać bez większego problemu. Gdziekolwiek w murze znajdowały się otwory prowadzące do niewielkich magazynów. Sprawdzali je tylko po to, żeby się upewnić, że nie wychodzą z nich wewnętrzne korytarze.

– Są! – zawołał Leo i wskazał stalowe drzwi.

Podbiegli do nich. Były zamknięte na starą zardzewiałą kłódkę. W prawym górnym rogu wryto numer: 246/303-3.

Cecilia sprawdziła na mapie.

– To nie te – oznajmiła. – Ale nasze muszą być gdzieś blisko. Szukamy numeru 246/312-3, więc dzieli je zaledwie dziewięć cyfr.

Poszli dalej. Korytarz ciągnął się aż do krawędzi płaskowyżu, gdzie w betonowej ścianie

znajdowały się wąskie otwory wychodzące na morze. Wzdłuż przeciwległej ściany biegło wiele par stalowych drzwi. Żadne nie były oznaczone poszukiwanym przez nich numerem, ale liczby rosły, a to oznaczało, że zbliżali się do tych właściwych. Korytarz zaprowadził ich na drewnianą platformę. Zatrzymali się i spojrzeli na morze. Cecilie ogarnęło nagle nieprzyjemne uczucie. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nie są sami. Że ktoś ich przez cały czas obserwuje. Rozejrzała się dookoła, ale jedyne, co zobaczyła i usłyszała, to czarne ptaki, które krążyły nad zaroślami.

Leo schylił się i podniósł z ziemi łuskę od starego naboju.

– Z czasów wojny? – spytała Une.

– Możliwe – odparł Leo. Oczyszczył ją z piasku i zagwizdał na niej. Egon zaszczekał głośno. Une pochyliła się i podrapała go za uchem, po czym ruszyli dalej.

Tuż za zakrętem natknęli się na wyrwę w grubym betonie, spowodowaną prawdopodobnie wybuchem granatu. Zardzewiałe żelazne pręty wystawały ze ścian, a na ziemi leżała kupa gruzu, nad którą musieli przejść.

W tej części korytarza drzewa rosnące za betonową ścianą tak się rozrosły, że uformowały coś w rodzaju dachu. Powietrze było chłodniejsze i bardziej wilgotne, przesiąknięte zapachem ziemi i starych liści. Ściany porastał mech, a promienie słoneczne przedzierające się przez listowie tworzyły niespokojny, stale zmieniający się teatr cieni. Wydawało się, że korytarz kończy się za jakieś dziesięć metrów, a tymczasem skręcał w prawo pod kątem prostym. Egon szedł pierwszy, z pyskiem przy ziemi. Po piętnastu metrach zatrzymał się przed szarymi stalowymi drzwiami, jakby rozumiał, czego szukają.

Une odczytała głośno numer:

– 246/311-3.

– Następne drzwi! – zawołał Leo i pobiegł przed siebie. Trzydzieści metrów dalej znajdowały się kolejne drzwi. Już z daleka widzieli klamkę wystającą z betonowej ściany.

– Yes! – zawołał Leo, gdy dotarł na miejsce.

Nie potrzebowali mapy, żeby mieć pewność, że to właściwe drzwi. Wszyscy troje znali numer na pamięć. 246/312-3.

– Patrzcie! – powiedziała Cecilia i wskazała dwa zardzewiałe rygle. Tuż obok leżała na ziemi solidna mosiężna kłódka, którą ktoś najwyraźniej przepiłował.

Spojrzeli na siebie. W końcu Leo zrobił krok do przodu. Fragmenty szarej farby i płyty rdzy spadły na ziemię, gdy złapał dużą mosiężną klamkę i pociągnął drzwi.

20 ŚCIANA

Drzwi były ciężkie. Zawiasy zaskrzypiały żałośnie, gdy Leo pchnął je z całej siły. Dźwięk odbił się głośnie echem od betonowych ścian. Część otworu zasłaniały mieniające się srebrzyście pajęczyny z uwiecznionymi drobnymi żyłkami. Nitki przykleiły się do rąk Leo.

Cecilia wyjęła z plecaka latarki, podała jedną Une, potem zapaliła swoją i skierowała snop światła w głąb pomieszczenia.

Był to niewielki kwadratowy pokój o wymiarach dwa na dwa metry. Panował w nim chłód, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci i stęchlizny. Przy ścianie stała długa szara drewniana ławka. Na podłodze leżała gruba lina, podarte gazety i potłuczone butelki po piwie.

– Egon! – zawołała Une. Nie chciał jej słuchać i protestował, gdy wzięła go na ręce, żeby nie wszedł w szkło.

Cecilia poczuła, że ma gęsią skórkę. Skierowała światło latarki na surowe ściany. Z sufitu spływało coś, co przypominało gęsty śluz. W betonie wydrążone były litery i słowa, pozostawione tu przez ostatnich żołnierzy lub już po wojnie przez ciekawskich zwiedzających.

– Coś tu się nie zgadza – powiedział Leo, przyglądając się mapie. Kilka razy przeniósł wzrok z mapy na otaczające ich ściany. – Tu powinno być przejście.

Cecilia pochylała się nad mapą, rozejrzała się i podeszła do ściany, w której powinien znajdować się otwór, prowadzący do pomieszczenia oznaczonego iksem. W szarym murze widać było prostokątne, dużo jaśniejsze pole.

– Tu kiedyś były drzwi – stwierdziła. – Ale później je zamurowano.

– To niemożliwe! – jęknął Leo.

– Stary Tim nam o tym opowiadał – wyjaśniła Une. – Tuż po wojnie zamurowano prawie wszystkie przejścia.

Leo kopnął kawałek szkła leżącego na podłodze. Okruch uderzył w ścianę, w której ponad pół wieku temu znajdowały się drzwi, i rozbił się w drobny mak.

Cecilia zamyśliła się. Przyłożyła dłoń do zimnej ściany i przesunęła ją wzdłuż krawędzi jasnego pola.

– Czas się nie zgadza – stwierdziła.

– Czas?

– Otwór zamurowano dawno temu – powiedziała, poklepując ścianę. – Zapewne tuż po wojnie, tak jak mówił Stary Tim.

– Masz rację – podchwyciła Une, która najwyraźniej domyśliła się, do czego zmierza Cecilia. – Jeśli jest tak, jak myślimy, i krzyżyk na mapie rzeczywiście oznacza miejsce ukrycia zegara, gdzieś musi znajdować się inne wejście.

– Właśnie to powiedział mi Lasson – ciągnęła Cecilia. – Levi Hildonen lubił się tutaj bawić i chociaż większość otworów zamurowano, znalazł tylne wejście, przez które wślizgiwał się do środka.

W oczach Leo pojawił się błysk.

– Musimy sprawdzić to miejsce od zewnątrz! – powiedział i już był w drodze do wyjścia.

Cecilia i Une ruszyły za nim. Leo pobiegł do miejsca, w którym do betonowej ściany przytwierdzona była metalowa drabina. Dzięki niej można było wydostać się z korytarza górą, zamiast pokonywać tę samą długą drogę do wyjścia. Śruby mocujące drabinę zaskrzypiały lekko, ale nie puściły.

Leo pierwszy wdrapał się na górę. Położył się szybko na brzuchu, żeby pomóc Une wnieść Egona.

Gdy wyszli na powierzchnię, rozejrzeli się dookoła. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rosły krzaki i gęste zarośla. Tylne wejście do bunkrów mogło być gdziekolwiek.

Egon zaszczeakał i zaczął węszyć. Leo wzruszył ramionami. Równie dobrze pies mógł zdecydować za nich.

Egon zaprowadził ich do zagajnika. Igły i drobne gałązki kłuły ich w twarz i ręce, ale szli za psem.

Nagle Egon zatrzymał się z podniesionym sztywno ogonem. Zobaczyli przed sobą dość wąską wyrwę w ziemi o ostrych krawędziach, nad którą krążyły czarne ptaki. Na oko mogła mieć dziesięć metrów głębokości. Na jej dnie leżały porośnięte mchem bloki skalne i spróchniałe pnie drzew.

Une ukucnęła obok Egona.

– Mądry pies! – pochwaliła go i podniosła wzrok na przyjaciół.

– To musi być tutaj – przytaknął Leo. – Jeśli istnieje tylne wejście, musi zaczynać się w takim miejscu jak to.

– Ale jak tam zejdziemy? – spytała Cecilia, nie kryjąc sceptycyzmu. – Z Egonem to będzie raczej

trudne.

– Przyniosę linę – zaproponował Leo. – Tę, która leży w bunkrze.

Pięć minut później wrócił zdyszany ze zwojem sznura pożyczonego z 246/312-3. Znalazł grube drzewo, wokół którego zawiązał jeden koniec liny, a drugi spuścił w głąb rozpadliny.

– Mogę iść pierwszy – zaoferował się i podniósł Egona. Położył sobie psa na karku i sięgnął po sznur.

– Ja zejść pierwsza – powiedziała Cecilia. – I odbiorę od ciebie Egona.

Chwyliła linę, tyłem zbliżyła się do krawędzi wyrwy i pociągnęła za sznur. Wyglądała na stary, ale solidny. Przytrzymując się liny, łatwo było opuścić się w dół. Podparcie dla stóp znajdowało w wąskich szczelinach, na niewielkich półkach skalnych i korzeniach drzew, które wryły się w zbocza płaskowyzu.

Leo był następny. Egon leżał cicho i spokojnie na jego ramionach, ale Leo i tak miał utrudnione zadanie. W połowie drogi musiał zrobić krótką przerwę, żeby odocząść i nabrać sił. Już miał ruszyć dalej, gdy nagle oderwał się kamień, na którym postawił stopę. Cecilia odskoczyła do tyłu, żeby nie spadła na nią mała lawina skalna, którą wywołał Leo. Dziewczyna leżała na plecach i patrzyła, jak Leo z Egonem na ramionach zwisa na linie cztery metry nad nią.

Wierząc nogami, aż w końcu udało mu się wsunąć jedną stopę pod korzeń, a drugą w szczelinę. Chwilę później obaj wylądowali bezpiecznie obok Cecylii.

– Co to jest? – zawołała Une, która wciąż stała na górze, wskazując krzaki rosnące obok nich.

Cecilia zrobiła krok do przodu, ale Egon zjeżył sierść i zawarczał.

– Wygląda jak but! – zawołała Une znad krawędzi wyrwy.

To b y ł but. Czarny z podeszwą z grubym bieżnikiem. Wystawał z krzaków, przez co niełatwo go było zauważyć.

Leo podszedł bliżej.

– Tu jest coś więcej – powiedział i odsunął zarośla.

Cecilia zamarła z przerażenia. Jej oddech stał się szybki i urywany. W gęstwinie leżał martwy mężczyzna, z głową w dół i nogami uniesionymi do góry. Twarz miał bladą i zeszywniałą, pokrytą plamami skrzepłej krwi.

Cecilia spojrzała w górę, na krawędź wyrwy, z której spadł mężczyzna. Potem przeniosła wzrok na ciało. Nie miała wątpliwości. Nawet po śmierci przypominał siebie ze zdjęcia z kartoteki policyjnej, które zamieszczono w gazecie. Znaleźli poszukiwanego Leviego Hildonena.

21

ZNAK X

Policji udało się wydobyć zwłoki Leviego Hildonena dopiero przed wpół do ósmej wieczorem. Musieli zaczekać na specjalistów ze sprzętem, którzy umieścili ciało na noszach i wyciągnęli je na powierzchnię. W tym czasie technicy kryminalistyki dokonali wstępnych oględzin miejsca zdarzenia. Chodzili w białych kombinezonach, jak w telewizji, ale niczego nie znaleźli.

Wielu dorosłych przyglądało się pracy policji. Rebekka, matka Leo, i Alan, ojciec Cecilii. I kucharz Edgar, a także paru gości hotelowych. Frank Kobolt, zegarmistrz Aleksandersen, gość z tłustymi włosami, który nazywał się Morten Krogh, i facet w okularach przeciwsłonecznych, niejaki Anders Hansen, którego Cecilia widziała przy bunkrach.

Słyszeli, jak ich rodzice rozmawiali o Levim Hildonenie.

– Zastanawiam się, co robił w tym zagajniku na terenie ogrodzonym drutem kolczastym – powiedziała na głos matka Leo i nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do trojga przyjaciół:

– Wracacie ze mną do domu.

Nawet nie próbowali protestować. Wrócili do pensjonatu i usiedli na tarasie. Arthur też nie miał humoru. Siedział oswojony w swojej klatce i huśtał się w milczeniu.

Po chwili przejechał obok nich ostatni radiowóz i karawan pogrzebowy z krzyżem na dachu.

Ojciec Cecilii podszedł do ich stolika. Chciał z nimi porozmawiać, chociaż rozmowy na tematy egzystencjalne nie szły mu najlepiej.

– Jak się czujecie? – spytał.

– W porządku – odparła Cecilia, chociaż to nie była prawda. Zaledwie miesiąc temu znalazła na plaży zwłoki mężczyzny i wciąż nie mogła pozbyć się tego wspomnienia. Wiedziała, że widok martwego Leviego Hildonena również będzie ją prześladował.

Państwo Flakerowie przyszli po córkę do pensjonatu. Une opowiedziała im, co się stało.

Rozmawiali o tym, co czuli, ale nie o tym, co myśleli: że jak tylko nadarzy się okazja, wrócą tam, żeby odszukać drogę do bunkra.

Dochodziła dwudziesta druga, gdy w końcu zostali sami.

– Zaczekamy do jutra? – spytała Cecilia.

Une i Leo potrząsnęli głową.

Kwadrans później byli na miejscu. Tym razem zabrali ze sobą dwie dodatkowe latarki i sznur, którego użyli jako liny asekuracyjnej.

– Policja wszystko sprawdziła – powiedziała Une, gdy stanęli na dnie wyrwy. – Nie mamy pewności, czy rzeczywiście jest tu jakieś przejście.

– Musi być – upierał się Leo. – Policja sprawdziła tylko miejsce, w którym leżał, i to, z którego spadł.

Zabrali się do pracy i przeszukali teren metr po metrze.

Przejście znalazła Une.

Między dwoma dużymi blokami skalnymi znajdowała się wąska szczelina w ścianie, niemal całkowicie przykryta krzewami i zaroślami. Une przywołała przyjaciół i oświetliła wejście latarką.

Ciemny ciasny korytarz prowadził daleko w głąb skały.

– To musi być to! – wykrzyknął podekscytowany Leo.

Nie tracąc czasu na zbędne dyskusje, położył się na brzuchu i wczołgał do środka.

– Pójdę na końcu, z Egonem – powiedziała Une.

Cecilia ukucnęła i zajrzała do środka.

– Dalej jest więcej miejsca! – zawołał Leo.

Wahała się przez chwilę, ale włączyła latarkę i ruszyła za nim.

Wewnątrz panował przenikliwy chłód. Pajęczyna przykleiła jej się do twarzy. Cecilia wzdrygnęła się. Ciemne ściany pochłaniały większość światła, ale wciąż widać było ślady kilofów i oskardów, których użyto do budowy tajnego przejścia.

Tunel, z czasem coraz szerszy, wydawał się na końcu ślepy. Dopiero gdy Cecilia stanęła obok Leo, zobaczyła żelazny wąż. Był przeżarty rdzą i wisiał na krzywych zawiasach.

Leo oświetlił go, żeby móc mu się dokładnie przyjrzeć.

– Nie ma żadnego uchwytu – stwierdził i obmacał krawędzie lewą ręką. – Najprawdopodobniej zbudowali go po to, żeby w razie potrzeby żołnierze mogli uciec z bunkra, a nie po to, żeby wchodzić tędy do środka.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, ponieważ trafił palcami na coś znajdującego się pod wjazdem i żelazna pokrywa obróciła się w ich stronę. Skierował snop światła w otwór. Pomieszczenie przypominało piwnicę. Ściany błyszczały od wilgoci.

Spojrzeni na siebie, nie mówiąc ani słowa, i przecisnęli się ostrożnie do środka. Niełatwo było

odgadnąć, do czego służyło to pomieszczenie. Nie było w nim żadnych mebli, a cement, który oderwał się od sufitu, chrzęścił pod ich stopami.

Cecilia zatrzęsała się. Z zimna i ze strachu. Czowała się tak, jakby znalazła się w grobowcu.

– Mapa – zwrócił się do niej Leo. Głos mu drżał, a wydychane powietrze zamieniło się w biały obłok pary.

Cecilia podała mu mapę. Nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdują, ale domyślali się, że są po przeciwnej stronie głównego wejścia do bunkrów. A to oznaczało, że pomieszczenie ze znakiem X musiało być gdzieś niedaleko.

Z pokoju, w którym stali, można było przejść dalej, w prawo lub w lewo. Skręcili w lewo, przez chwilę szli kamiennym korytarzem, aż znaleźli się w ośmiokątnym pomieszczeniu, na środku którego stała maszyna z dużą korbą i zardzewiałymi zębatkami. Od maszyny biegly w górę stalowe druty i znikaly w szybie wentylacyjnym.

– Jesteśmy gdzieś tutaj – stwierdził Leo, wskazując pokój na mapie o takim samym kształcie jak ten, w którym stali.

Egon zawarczał. Najwyraźniej nie podobało mu się przebywanie w ciemności.

Szli korytarzem, mijając ciemne otwory drzwiowe po obu stronach. Leo skręcił w jeden z nich i poprowadził przyjaciół przez labirynt kolejnych pomieszczeń. Wszystkie wyglądały tak samo, tylko jeden miał dziury w kamiennej podłodze, świadczące o tym, że kiedyś znajdowały się tu toalety i prysznice. Szli dalej korytarzem aż do czegoś, co najprawdopodobniej było kuchnią, ponieważ stały tu duże stare kuchenki. Snop światła rzucany przez latarkę Cecylii drżał. Ręce jej się trzęsły, jakby nie miała nad nimi władzy. Nie była pewna, czy trzęsą się z zimna, czy ze strachu. W świetle latarek to, co znajdowało się przed nimi, nie było aż tak straszne, lecz ciemność przez cały czas skradała się za nimi, podążała za nimi krok w krok. Cecilia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś na nich czyha w ciemności.

– Cicho! – powiedziała nagle.

Une i Leo zamarli w bezruchu.

– Chyba coś słyszałam.

Odwróciła się i oświetliła wnętrze korytarza. Gdzieś w oddali kapala woda, poza tym panowała idealna cisza.

Nastolatka zrobiła kilka kroków i znów zatrzymała się gwałtownie.

– Znowu coś słyszałam!

Teraz również oni to usłyszeli. Dziwne szuranie, które kilka sekund później ustało.

– To echo – uspokoił ją Leo. – To tylko echo naszych kroków.

Egon zawarczał, jakby się z nim nie zgadzał, ale mimo to cała trójka ruszyła dalej. W końcu Leo stanął przed metalowymi drzwiami zamkniętymi na solidną błyszczącą kłódkę, która wyglądała na

nową w porównaniu z zardzewiałymi skobkami, do których była przymocowana.

– To tutaj – szepnął Leo.

Cecilia podeszła do drzwi, położyła latarkę na ziemi i wyjęła z kieszeni klucz, który leżał ukryty w biurku razem z mapą. Wstrzymując oddech, wsunęła klucz do zamka i przekręciła. Rozległ się cichy trzask.

– *Yes!* – zawołał Leo i pociągnął drzwi.

Pomieszczenie właściwie niczym się nie różniło od pozostałych poza tym, że przy jednej ze ścian stał stół, a na ziemi leżał plecak.

Na środku stołu ujrzeli pozłacany zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich.

22

CZAS UCIEKA

Leo wziął go do ręki. Czegoś tak pięknego Cecilia jeszcze nigdy nie widziała. Zegar był o wiele ładniejszy niż na zdjęciu w gazecie.

– Ostrożnie! – upomniała go.

Leo puścił zegar w obieg.

– Pięć milionów koron – wymamrotała Une, gdy Cecilia podała jej arcydzieło sztuki złotniczej.

– Sto tysięcy koron znaleźnego! – przypomniał im Leo.

Une odstawiła zegar na stół.

– Co robimy? – spytała Cecilia i sprawdziła telefon komórkowy. Z powodu grubych murów nie mieli zasięgu, a robiło się bardzo późno. Musieli zacząć myśleć o powrocie do domu.

– Tutaj jest tego więcej! – zawołał podekscytowany Leo, pochylając się nad plecakiem. – Cała reszta!

Cecilia podeszła do niego i zajrzała do plecaka. Wnętrze mieniło się i błyszczało od ozdób, złota i kamieni szlachetnych.

– Cała reszta... – powtórzyła. Z wrażenia nie mogła wykrztusić nic więcej.

Leo wsunął ręce do plecaka i zatopił je w drogocennych koliach, pierścionkach i bransoletach. Gdy zanurzył dłonie głębiej, wyjął ze środka dwie sztaby złota.

– To co robimy?

– Wy już nic nie zrobicie!

Wzdrygnęli się i odskoczyli do tyłu. Słowa wypowiedział mężczyzna stojący w drzwiach. Leo skierował na niego latarkę. Snop światła padł prosto na twarz gościa hotelowego z tłustymi włosami. Trzymał w ręce żelazny pręt, którym zaatakował Leo. Wytrącił mu z dłoni latarkę, która upadła i potoczyła się po betonowej podłodze.

– Ja się wszystkim zajmę – powiedział i podszedł do plecaka, wygrażając nastolatkom łomem.

Egon warknął i doskoczył do niego. Mężczyzna zamachnął się, ale chybił. Une chwyciła psa, żeby nie stała mu się krzywda.

– Wiedziałem, że ukrył fanty gdzieś tutaj – zaśmiał się i zajrzał szybko do plecaka. – W więzieniu w kółko o tym opowiadał. Właściwie o niczym innym nie mówił, tylko o złocie i Zatoce Okrętów. Gdy daliśmy nogę, nietrudno było się domyślić, że zjawi się tutaj, żeby odzyskać łup.

Pociągnął plecak za sobą do wyjścia. Cecilia śledziła każdy jego ruch. Od razu domyśliła się, że mają przed sobą więźnia, który zbiegł z zakładu karnego razem z Levim Hildonenem. Wynajął pokój w pensjonacie, żeby spróbować odnaleźć złoto, i dzięki nim dopiął swego.

– To możecie sobie zatrzymać – powiedział, wskazując łomem zegar stojący na stole. – Jest zbyt sławny. Nie uda mi się go sprzedać.

Leo zrobił krok do przodu.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! – przerwał mu zbiegły więzień. Przeciągnął plecak na korytarz. – Wy zostaniecie tutaj! – zawołał i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dźwięk odbił się echem od betonowych ścian, a gdy ucichł, usłyszeli metaliczny odgłos zamykanej kłódki.

Leo podbiegł do drzwi i zaczął walić w nie pięściami. Krzyczał i wzywał pomocy przez kilka minut, aż w końcu wyczerpany osunął się na podłogę. Zapadła cisza, a do nich dotarła bolesna prawda: byli uwięzieni w ciasnym pomieszczeniu ukrytym głęboko w skale.

Pierwsza odezwała się Cecilia.

– Na pewno jest stąd jakieś wyjście – stwierdziła i skierowała światło latarki na betonowe ściany. – Szyb wentylacyjny albo coś w tym stylu. Może mały otwór, do którego przystawimy telefon i złapiemy zasięg.

Une i Leo również mieli taką nadzieję. Sprawdzili każdy centymetr ściany, podłogi i sufitu, ale niczego takiego nie znaleźli.

– Jak długo da się przeżyć w takich warunkach? – spytał Leo, przyglądając się starym metalowym drzwiom.

– Bez jedzenia można przeżyć nawet kilka tygodni – odparła Une. – Ale bez wody tylko trzy, góra cztery dni.

Cecilia zaczęła się trząść. Łzy napłynęły jej do oczu, ale udało jej się pohamować płacz. Tysiące myśli krążyło jej po głowie. Byli uwięzieni. Odcięci od świata. Bała się, że ich ostatnie godziny życia będą wlokły się niemilosiernie.

Nagle usłyszeli dźwięk dobiegający zza drzwi. Leo cofnął się.

– Ktoś tam jest – wyszeptał.

Dźwięk powtórzył się. Cecilia miała ochotę krzyknąć z radości, ale opanowała się, przygryzła wargę i skinęła głową, by potwierdzić, że Leo ma rację. Ktoś był za drzwiami i otwierał kłódkę. Drzwi otworzyły się powoli i stanął w nich znajomy mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Tym razem był bez okularów, ale uśmiechał się równie szeroko jak wtedy, gdy rozmawiał z papugą przed pensjonatem.

Cecilia chciała rzucić mu się na szyję, ale nie zdążyła, ponieważ mężczyzna pochylił się i chwycił coś, co leżało przed drzwiami.

– Pomyślałem, że przyda wam się towarzystwo – powiedział i wciągnął do środka człowieka, który ich uwięził. Był nieprzytomny, a z rany na czole leciała mu krew.

– On... – zaczął Leo, ale mężczyzna przerwał mu ostrym tonem.

– Nie okrada się złodzieja! – warknął i rzucił bezwładne ciało na podłogę. – Sądziłem, że wszyscy to wiedzą.

Mówiąc to, splunął na ziemię. W jednej chwili czar przysł.

– To należy do mnie – mówił dalej, wskazując plecak leżący przed drzwiami. – Do mnie i do Leviego. Razem okradliśmy „Górę Złota”. Zadzwoił do mnie tuż po tym, jak uciekł z więzienia. Mieliliśmy się tutaj spotkać. Wy tłumaczył mi, że mapę bunkra i zapasowy klucz ukrył w pensjonacie „Perła”, w pokoju, w którym mieszkał rok temu, na wypadek, gdyby złapała go policja. Ale wy znaleźliście tajną skrytkę przede mną.

Cecilia stała z otwartymi ustami. Jej twarzy zrobiła się chłodna i blada, a dłonie były wilgotne od potu. Serce biło jak oszalałe, a przed oczami pojawiły się mroczki. Przez krótką chwilę sądziła, że są uratowani, ale mężczyzna, który stał w drzwiach, wcale nie przybył im z pomocą.

– To również jest moje! – powiedział ze wzrokiem utkwionym w zegar maltański. – Oddaj mi go natychmiast!

Egon skulił się i zaczął warczeć.

– Sam go sobie weź – odpała Une.

Ale mężczyzna nie miał zamiaru oddać się od drzwi i ryzykować, że któreś z nastolatków zdoła mu uciec.

– Zresztą, nie pali się – powiedział i cofnął się o krok. – Mogę tu wrócić za miesiąc albo za rok i wtedy go sobie odbiorę. Zegar wciąż tu będzie. – Mówiąc to, zaczął powoli zamykać ciężkie drzwi. – I wy też.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Cecilia miała wrażenie, że ogląda stary film rysunkowy. Egon jednym susem doskoczył do mężczyzny i rzucił mu się na klatkę piersiową. Złodziej zrobił kilka chwiejnych kroków i upadł na ziemię. Próbował się podnieść, ale Egon ujadłał i szczyrzył kły tuż przy jego twarzy. Mężczyzna ostrożnie wyczołgał się do tyłu. Wtedy Leo szturchnął Cecilę w plecy.

– Uciekaj! – zawołał.

Dziewczyna zareagowała automatycznie. Wybiegła z pomieszczenia, ale potknęła się o nogi nieprzytomnego mężczyzny, który leżał przed drzwiami. Upadając, uderzyła się w kolano i upuściła latarkę, szybko się jednak podniosła, chwyciła latarkę i rzuciła się do ucieczki, nie mając pewności, że biegnie we właściwym kierunku. Kątem oka zauważyła, że Leo również się uwolnił, ale nigdzie nie widziała Une. Pocieszała się jednak tym, że nawet jeśli tylko jedno z nich wydostanie się z bunkra, wszyscy troje będą uratowani.

Biegła ciemnym korytarzem. Nagle usłyszała za sobą wołanie Une. Egon szczekał zajadle, ale po chwili żałośnie zaskomlał i zamilkł. Głos Une niósł się echem między betonowymi ścianami, ale uciekł w chwili, gdy rozległ się trzask stalowych drzwi.

Światło latarki stawało się coraz słabsze. Gasło na moment i znów się zapalało. Cecilia biegła dalej. Pośliznęła się i upadła jak długa, uderzając głową o podłogę, ale natychmiast wstała i ruszyła przed siebie. W ustach czuła posmak krwi. Była mokra od potu i dudniło jej w skroniach, ale nie przestawała biec. W końcu musiała się jednak zatrzymać, żeby zorientować się w sytuacji. Słyszała jakieś dźwięki, ale nie potrafiła ich zlokalizować. Latarka migąła coraz częściej. Skierowała wątki snop światła na ściany pomieszczenia, w którym się znajdowała, ale go nie rozpoznała. Bunkier przypominał labirynt. Nie miała pojęcia, gdzie jest wyjście ani którą drogą przybiegła.

Mogła skrócić w lewo lub w prawo. Ruszyła w lewo, gdy nagle zgasła latarka. Tym razem na dobre. Cecylię ogarnęły ciemności. Chwilę później ktoś zakrył jej usta silną dłonią i pociągnął ją do tyłu.

23

URATOWANI

Wierzyła nogami, drapała i biła na oślep, żeby się uwolnić. Człowiek, który stał za nią, zbliżył głowę do jej twarzy i szepnął ochryplym głosem:

– Uspokój się. Jestem tu po to, żeby wam pomóc.

W jego głosie było coś kojącego, co sprawiło, że przestała się wyrywać.

– Nazywam się Frank Kobolt – wyjaśnił. – Jestem prywatnym detektywem i mieszkam w pokoju 204.

Cecilia struchlała. Nie wiedziała, czy może mu zaufać, ale jeśli mężczyzna, który do śniadania czytywał stare gazety, rzeczywiście był prywatnym detektywem, wszystko zaczynało układać się w logiczną całość. Frank Kobolt prawdopodobnie został wynajęty przez właścicieli „Góry Złota”. Miał odnaleźć zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich i resztę skradzionych kosztowności.

– Bądź cicho – powiedział. – Jasne?

Skinęła głową. Dopiero wtedy mężczyzna ją puścił.

– Ani słowa – powtórzył.

Nie musiał jej o to prosić. Słyszała zbliżające się szybko kroki. Chwilę później snop światła zaczął przeslizgiwać się po ścianach.

Frank Kobolt ukrył Cecilie za sobą. Było zbyt ciemno, by coś zobaczyć, ale nastolatka domyśliła się, że stoją w otworze w ścianie. Mężczyzna z latarką zbliżał się, oświetlając korytarz. Teraz dostrzegła szare kontury i zrozumiała, że ukrywają się w bocznym przejściu.

Światło było coraz mocniejsze. Gdy mężczyzna mijał ich kryjówkę, detektyw wystawił nogę. Tamten się potknął. Próbowal utrzymać równowagę, ale ciężki plecak przeważył i mężczyzna upadł na twarz. Detektyw skoczył na niego, zanim mężczyzna zdążył zareagować. Zsunął mu plecak z lewej ręki i wykręcił ją do tyłu. Złodziej krzyczał z bólu, ale na Kobolcie nie zrobiło to żadnego

wrażenia. Ściągnął plecak z jego drugiej ręki, wykręcił ją na plecy i skuł go kajdankami, które miał przyczępione do paska.

Cecilia podniosła latarkę i skierowała światło na twarz złodzieja. A wydawał się taki miły, gdy rozmawiał z papugą, pomyślała. Teraz w jego ciemnych oczach dostrzegła coś, co przez cały czas ukrywał za okularami przeciwsłonecznymi. Wściekłość i nienawiść.

– To Hans Andersen – wyjaśnił prywatny detektyw. – Chociaż wynajmując pokój w pensjonacie, podał, że nazywa się Anders Hansen. Policja i ja od dawna podejrzewaliśmy, że to on napadł na sklep jubilerski razem z Levim Hildonenem, ale nie byliśmy w stanie tego udowodnić. Aż do teraz.

Zaciągnął mężczyznę do pomieszczenia, w którym ukryli się z Cecilią. Zdjął mu kajdanki z jednej ręki, zaczął je o stalową rurę i skuł go znowu.

– Co się tutaj wydarzyło? – zwrócił się do Cecylii.

Nastolatka w kilku zdaniach streściła przebieg wypadków.

– Zaprowadź mnie tam – powiedział i ruszył do drzwi, ale nagle zatrzymał się i podszedł do Hansa Andersena. Przeszukał jego kieszenie i znalazł klucz od kłódki.

Przeszli przez labirynt korytarzy i pokoiów, aż znaleźli się przed zamkniętymi stalowymi drzwiami.

– Une! – zawołała Cecilia, uderzając pięścią w drzwi.

Przyjaciółka odpowiedziała.

– Jesteśmy uratowani! – krzyknęła Cecilia, gdy Frank Kobolt otwierał kłódkę.

Une siedziała na podłodze. Egon leżał przed nią i pustym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Za nimi leżał ranny mężczyzna.

– Okej – powiedział detektyw, po tym jak Cecilia wytłumaczyła Une, kim jest ich wybawca. – Zrobimy tak: zabierzemy psa, a jego zostawimy. – Wskazał nieprzytomnego mężczyznę. – Jak tylko wydostaniemy się na zewnątrz, zawiadomimy policję.

Egon poderwał się z podłogi, jakby rozumiał, co mówili, i chciał jak najszybciej opuścić to miejsce. Cecilia spojrzała na zegar stojący na stole i przeniosła wzrok na Kobolta. Gdy ten skinął głową, zabrała zegar, przycisnęła go mocno do piersi i wyszła za Une i Egonem. Detektyw wyszedł ostatni i zamknął drzwi.

Wyglądało na to, że doskonale orientował się w terenie. Szedł szybkim, zdecydowanym krokiem, nie rozglądając się na boki. Światło latarek pełzało wzdłuż ciemnych ścian. Z czasem Cecilia czuła się coraz pewniej. W końcu dotarli do pomieszczenia z włazem w ścianie prowadzącym do tajnego przejścia.

Detektyw pozwolił jej iść pierwszej i pomógł Une przenieść Egona. Im bliżej wyjścia, tym mocniej biło serce Cecylii. Na dworze panowała ciemność, ale letnia noc wydawała się jasna w porównaniu z mrokiem spowijającym wnętrze bunkra.

Gdy wydostała się na zewnątrz obok kamienia maskującego wejście do korytarza, ktoś zawołał ją po imieniu. Podniosła głowę i zobaczyła Leo, ojca i wiele innych znajomych osób, zebranych nad krawędzią urwiska. Byli wśród nich także kucharz Edgar, ojciec Une, Stary Tim, a nawet Christian Lassen. Mieli przygotowane latarki i liny.

Cecilia odchrząknęła i odetchnęła świeżym powietrzem. Czuła niewypowiedzianą, wszechogarniającą radość. Łzy napłynęły jej do oczu. Wytarła je wierzchem dłoni i uniosła triumfalnie nad głowę zegar Zakonu Kawalerów Maltańskich.

24 PÓŹNY GOŚĆ

Zegar w recepcji wybił dwunastą. Wszyscy zebrali się w sali jadalnej: goście, pracownicy i wiele innych osób. Nadjechał kolejny radiowóz na sygnale. Przed pensjonatem niebieskie światła błyskowe zostały wyłączone i samochód potoczył się dalej wąską drogą prowadzącą do bunkrów.

Zegar maltański stał na stole przykrytym białym obrusem na samym środku pokoju.

Aleksandersen pochylał się nad nim, z rękami założonymi do tyłu.

– Prawdziwe dzieło sztuki – oświadczył i przeniósł wzrok na Svanhild Fjell. – Jak to dobrze, że się odnalazło.

– Policja i ja słusznie podejrzewaliśmy, że Hans Andersen dokonał kradzieży razem z Levim Hildonenem – wyjaśnił Frank Kobolt. – Sądzimy, że po obrabowaniu skarbcza rozdzielili się. Levi miał ukryć łup, a Andersen pozbyć się samochodu i sprzętu, którym się posłużyli.

– Fantastyczne... – wymamrotał zegarmistrz i okrążył stół, żeby przyjrzeć się zegarowi z drugiej strony. – I pomyśleć, że udało nam się go odzyskać.

– Mężczyzna, który zamknął was w bunkrze, siedział w więzieniu z Hildonenem. Razem zdecydowali się na ucieczkę – mówił dalej prywatny detektyw. – Levi tyle mu naopowiadał o Zatoce Okrętów, że facet domyślił się, że gdzieś tutaj został ukryty drogocenny zegar, nie wiedział tylko gdzie. I wtedy trafiliście na jego trop.

Alan Gaathe przyciskał Cecilie mocno do siebie.

– Tak się bałem, że cię stracę – szepnął do córki. – Że ciebie również stracę...

Cecilia zerknęła na Christiana Lassona. Ten skinął głową, odwrócił się i wyszedł z sali.

– Gdy Levi uciekł z więzienia, spodziewaliśmy się, że zjawi się tutaj – ciągnął detektyw. – Już to wcześniej przerabialiśmy. Zbiegli więźniowie zwykle wracają w rodzinne strony.

Wiele osób chciało zadać pytanie nastolatkom i prywatnemu detektywowi.

– Co ze znaleźnym? – padło ostatnie pytanie.

Zadał je Stary Tim, który stał nieco z tyłu. Jego tubalny głos rozszedł się po całej sali.

– Wyplacimy je z wielką przyjemnością – zapewniła Svanhild Fjell. – Cecili, Une i Leo.

– I Egonowi – dodał Leo i pochylił się, żeby poklepać psa, który uratował im życie.

W odpowiedzi Egon polizał go w ucho, co było najlepszym dowodem na to, że pies odzyskał formę i dobry humor.

Cecilia przez cały czas spoglądała niecierpliwie w stronę drzwi. W końcu Christian Lasson zjawił się ponownie. Gdy wszedł do sali z dużym płaskim pakunkiem pod pachą, zapadła cisza. Tajemniczy przedmiot był zakryty białym płótnem i musiał być ciężki, bo malarz z trudem go niósł.

Cecilia podeszła do niego, żeby mu pomóc.

– Tato? – powiedziała.

Ojciec posłał jej pytające spojrzenie.

– Chciała, żeby obraz wisiał w tym miejscu – odezwał się Lasson, wskazując ścianę za ich plecami.

Alan Gaathe otworzył usta, żeby o coś zapytać, ale nie zdążył. Cecilia zdjęła białe prześcieradło i odsłoniła portret matki.

Efekt był piorunujący. Z wrażenia wszyscy wstrzymali oddech. Iselin Gaathe wyglądała jak żywa. Zupełnie, jakby czas się cofnął, pomyślała Cecilia. Widziała, jak ojciec przełyka ślinę, by ukryć wzruszenie. Po chwili wyduśił kilka niezrozumiałych słów. Ludzie stojący za nim szeptali między sobą o tym, jak piękną miał żonę.

– Jaka ładna ozdoba – skomentowała Svanhild Fjell. – Medalion Coldinga z aniołem i dzieckiem.

Podniosła chwilę zakłócił głośny dzwonek. Ktoś niecierpliwie przywoływał obsługę recepcji. Przed ladą stała kobieta w jasnym płaszczu i kapeluszu.

– Kto to jest? – spytał Leo.

Ojciec Cecili odchrząknął.

– Spodziewamy się jeszcze jednego gościa – wyjaśnił i ruszył do drzwi. – Pani Ankerholt. Kiedyś już u nas mieszkała. Dzwoniła, żeby uprzedzić, że zjawi się późnym wieczorem.

– Ja mogę wydać jej klucz – powiedział Leo. Chciał, żeby Cecilia i jej ojciec mogli nacieszyć się tą chwilą.

– Pokój numer 209. Dziękuję – powiedział Alan Gaathe i skupił się na portrecie żony. Położył dłoń na płótnie i powiódł palcami po jej niezwykle realistycznie namalowanych włosach.

– Chciała, żeby to była niespodzianka – wyjaśnił Lasson.

Ojciec skinął głową i słuchał dalej opowieści malarza o tym, jak Iselin pozowała do portretu. Cecilia zajrzała do recepcji. Leo właśnie wręczał klucz nowemu gościowi. Nagle jego twarz zmieniła kolor. Leo zbladł, jakby zobaczył ducha.

Pani Ankerholt zabrała walizkę i ruszyła w stronę schodów. Leo stał jak wryty, nie spuszczając

z niej wzroku. Cecilia przecisnęła się przez tłum ludzi podziwiających obraz i podeszła do przyjaciela.

– Co się stało? – spytała.

– Ta kobieta... – wyjąkał. – Ta kobieta miała na sobie medalion twojej matki.

Św. Augustyn z Hippony

Czym jest czas?

To pytanie fascynuje filozofów i naukowców od tysięcy lat, ale jak dotąd nikt nie potrafił udzielić na nie jednoznacznej odpowiedzi.

Być może tym, kto ujął to najtrafniej, był filozof Aureliusz Augustyn: „Czymże więc jest czas? Jeżeli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeżeli chcę to wytłumaczyć komuś, kto o to pyta, już nie wiem”. Wszyscy wiemy, czym jest czas, ale trudno to wyjaśnić. A im dłużej o tym myślimy, tym odpowiedź wydaje się bardziej skomplikowana. Pojęcie czasu przekracza ludzkie pojęcie.

Aureliusz Augustyn był biskupem starożytnej Hippony, która obecnie nosi nazwę Annaba i leży w Algierii w Afryce. Najczęściej nazywano go po prostu Augustynem z Hippony. Święty Augustyn był pesymistą. Twierdził, że ludzie nie są w stanie podążać za tym, co dobre, i że tylko Boża miłość może wzbudzić w nich pragnienie i zdolność do czynienia dobra. Ale nie tylko to zaprzętało jego myśli. Najwięcej czasu poświęcił próbom przeanalizowania pojęcia... czasu.

Jak wielu innych filozofów, on również był zdania, że pojęcie czasu łączy się z pojęciem przestrzeni, w której się poruszamy. To znaczy z odległością, ponieważ czas można zmierzyć, obliczając, jak szybko jesteśmy w stanie przemieścić się z jednego miejsca do drugiego. Święty Augustyn uważał też, że czas powstał jako część wszechświata prawie 14 miliardów lat temu, lecz - inaczej niż w przestrzeni - nie możemy poruszać się swobodnie w czasie, ponieważ jesteśmy zmuszeni do podążania z jego „biegiem”, który wciąż pcha nas do przodu.

Święty Augustyn żył niemal 2000 lat temu, ale mimo ogromnego postępu w nauce, jaki nastąpił od jego śmierci, pojęcie czasu wciąż pozostaje zagadką.

NIE PRZEGAP

KOLEJNEJ KSIĄŻKI Z SERII CLUE

**ZAGADKA
DNA
MORSKIEGO**

JUŻ W STYCZNIU 2016!

1

ZNALEZISKO

Pół plaży odgrodzono biało-czerwoną taśmą policyjną, która łopotiała i wyginała się na wietrze. Wiała lekka popołudniowa bryza.

Cecilia czuła piasek w butach. Leo szturchnął ją w bok i skinął na drogę prowadzącą na plażę. Właśnie nadjeżdżał kolejny radiowóz.

Cecilia, Une i Leo nie byli jedynymi gapiami. Na plaży zebrali się pracownicy i goście pensjonatu, plażowicze i inni mieszkańcy Zatoki Okrętów. Stali w grupach i przyglądali się pracy policji. Egon merdał ogonem i wrywał się na smyczy. Une położyła mu rękę na pysku, żeby go uciszyć.

Za taśmą policyjnej dobiegał dźwięk krótkofalówek, telefonów komórkowych i przytłumione odgłosy rozmów. Technicy kryminalistyki w białych kombinezonach ochronnych pochylali się nad mapą.

Fale uderzały o brzeg i toczyły się z powrotem do morza. Kilka mew krążyło nad zatoką. Kręciły głowami na prawo i na lewo w poszukiwaniu pokarmu.

Był piękny słoneczny dzień. Ciemnoniebieskie bezchmurne niebo. Ciepło, lecz nie upalnie.

Wysoki mężczyzna o gęstych czarnych włosach zdecydowanym krokiem zbliżył się do taśmy policyjnej. Krawat zwisał mu luźno na szyi, a rękawy koszuli były podwiniete. Pokazał legitymację służbową i policjant w mundurze pilnujący miejsca zdarzenia wpuścił go do środka. Wyglądało na to, że ten ubrany po cywilnemu był jego przełożonym.

Fotograf uniósł aparat i zrobił zdjęcie w chwili, gdy jakiś dziennikarz usiłował zadać kilka pytań policjantowi w cywilu. Ten jednak minął go bez słowa.

Cecilia dotknęła medalionu z aniołem i małym dzieckiem wyrytym na wieczku, który wisiał na jej szyi, i poczuła przyspieszone bicie serca.

Nawet w takiej chwili nie potrafiła przestać o nim myśleć. Przeniosła wzrok na taflę morza, która błyszczała w słońcu niczym szkło.

Medalion należał do jej matki. Miała go na sobie zeszedłego lata, gdy zaginęła w trakcie przyjęcia. Tydzień później jej ciało zostało znalezione wśród przybrzeżnych skał w pobliżu latarni morskiej na Ålodden, ale medalionu przy nim nie było.

Cecilia odsunęła od siebie myśli o matce i medalionie. Policjant w krawacie podszedł do chłopaka z rudymi sterczącymi sztywno włosami i twarzą obsypaną piegami. To on zauważył, co

morze wyrzuciło na brzeg. Leo podniósł kamerę wideo i zrobił zbliżenie. Cecilia zajrzała mu przez ramię. Zobaczyli, że policjant zapisywał coś w notesie. Dzięki zoomowi w kamerze nieomal byli w stanie odczytać notatki oficera śledczego. Potem Leo wyłączył zoom i skierował obiektyw na gapiów. Jednym z nich był mężczyzna z pokoju 213, niejaki Lukas Vallset. Cecilia zmrużyła oczy i pochyliła się nad małym ekranem. W tym człowieku było coś niepokojącego. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie interesowało go to, co się dzieje za policyjnymi taśmami. Czapka z daszkiem zasłaniała większą część jego twarzy, tak że nie sposób było spojrzeć mu w oczy. Cecilia zwróciła na niego uwagę już wtedy, gdy meldował się w pensjonacie. Od początku wydał jej się dziwny.

Podniosła wzrok. Lukas Vallset poprawił okulary i spojrzał na zegarek, jakby się niecierpliwił albo na coś lub na kogoś czekał. Tuż za nim stał Stary Tim, opierając się o laskę. Miał na sobie gruby wełniany sweter, chociaż był ciepło, i drapał się po długiej siwej brodzie.

Cecilia zamyśliła się. To Stary Tim odnalazł ciało jej matki. Nikt nie wiedział, co się z nią stało poza tym, że utonąła. Trzy tygodnie temu Cecilia odzyskała jej medalion. Historia, którą opowiedziała im pani Ankerholt, by wyjaśnić, w jaki sposób weszła w jego posiadanie, była tak dziwna, jak człowiek, który podarował jej medalion. Ornitolog-hobbysta. Cecilia postanowiła, że porozmawia z nim, jak tylko mężczyzna pojawi się nad Zatoką Okrętów.

Lukas Vallset zdjął czapkę i wytarł spocone czoło. Rozejrzał się dookoła i napotkał spojrzenie Cecylii, ale szybko odwrócił wzrok. Nastolatka mimowolnie dotknęła ponownie medalionu. W oczach mężczyzny było coś dziwnego, nie wiedziała tylko co.

Tymczasem jeden z ubranych na biało techników kryminalistyki ukucnął tuż nad brzegiem morza i zaczął grzebać w piasku. Pozostali funkcjonariusze zbrali się wokół niego. Egon podniósł się i zaczął warczeć. Une uciszyła go i ściągnęła smycz, żeby pies nie wskoczył za policyjne ogrodzenie. Leo nastawił zoom i skierował obiektyw na przedmiot, nad którym pochylali się policjanci. To był but do biegania. Kołysał się na wodzie. I chociaż za każdym razem, gdy piasek usuwał się spod niego, zdawało się, że fale porwą go do morza, każda kolejna fala wyrzucała go z powrotem na brzeg. Wodorosty i trawa morska zaplątały się w sznurowadła, które wciąż były zawiązane. Na podszewie utworzył się osad z brunatnych alg.

Do nastolatków podszedł Stary Tim. Stał z wysuniętą do przodu brodą i śledził uważnie, co się dzieje za białą-czerwoną taśmą.

Cecilia spojrzała na ekran, żeby poznać jak najwięcej szczegółów. Na pierwszy rzut oka but nie różnił się niczym od innych śmieci wyrzucanych przez morze. Kawałki dryfującego drewna, puste plastikowe butelki, elementy olinowania walały się wzdłuż brzegu. Ale kolejna fala sprawiła, że but obrócił się i przechylił na bok, odsłaniając prawdziwy powód akcji policyjnej. Z buta wystawały blade fragmenty kości, a z każdej strony widać było coś, co przypominało płat skóry.

– Odcięta stopa – stwierdził ponuro Stary Tim.

Jeden z policjantów wziął do ręki łopatę i wsunął ją pod but. Razem z obuwiem do białej miski wpadło trochę piasku, kilka muszelek i odrobina morskiej wody.

– Obrzydliwość! – wzdrygnęła się Une.

Ciemna chmura przysłoniła słońce. Cecilie przeszedł dreszcz. Stary Tim tak mocno zaciskał palce wokół laski, aż kostki mu zbiełały.

– To nie pierwsza stopa, jaką tu znaleźli – oznajmił. – Kilka dni temu znaleźli inną.

– Dwie odcięte stopy?! – zawołała z przerażeniem Cecilia.

Stary Tim przytaknął.

– Ale to nie wszystko. Obie stopy są lewe.

Leo odwrócił się w jego stronę.

– Skąd pan to wie?

Na twarzy Starego Tima pojawił się przebiegły uśmiech.

– Czytałem książkę – odparł.

– Cięcie! – zawołał ktoś stojący za taśmą policyjną.

Reżyser filmu wyszedł zza kamery i zbliżył się do aktorów. Natychmiast zjawiły się kostiumożki, które poprawiły stroje, a makijażystka zaczęła pudrować im twarze małą miotełką.

Cecilia przestała interesować się tym, co działo się na brzegu. W końcu to wszystko było na niby. Odwróciła się i zobaczyła, że Lukas Vallset nasunął czapkę nisko na czoło i ruszył w stronę pensjonatu. Było w nim coś dziwnego. Coś nienaturalnego. Coś, co jej się nie podobało. Ani trochę.

Zagadka zegara maltańskiego

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Motto

1 NOCNE STRACHY

2 NIC NOWEGO

3 DWA RAZY CZERWONY

4 ZEGAR MALTAŃSKI

5 ZBIEG

6 DWANAŚCIE UDERZEŃ

7 OSTATNIE SŁOWA

8 GOSPODARSTWO WIGANDERÓW

9 KLUCZ

10 CZAS PŁYNIE

11 KRZYŻÓWKA

12 ZNALEŻNE

13 PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ

14 SPOTKANIE

15 DŁUGA PODRÓŻ DNIA W STRONĘ NOCY

16 L.

17 DOM NA PLAŻY

18 CZERWONA SUKNIA

19 246/312-3

20 ŚCIANA

21 ZNAK X

22 CZAS UCIEKA

23 URATOWANI

24 PÓŹNY GOŚĆ

Nie przegap kolejnej książki

Tytuł oryginału: *Maltesergåten*

Copyright © 2012 Kagge Forlag AS
Norwegian edition published by Kagge Forlag AS, Oslo
Published by agreement with Hagen Agency, Oslo
All rights reserved.

Copyright © 2015 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Milena Skoczko

This translation has been published with the financial support of NORLA



Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska
Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz
Projekt graficzny książki: Piotr Geisler
Projekt okładki: Studio projektowe &Visual, www.andvisual.pl

ISBN 978-83-64846-33-5



Smak Słowa

ul. Sobieskiego 26/4
81-781 Sopot
tel. 507-030-045

Szukaj nas także na

facebook



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl